odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok V. Nr 35 (235)
Łódź, 2. IX. 62.
Cena
1 zł

PO WAKACJACH

Przepędź, wietrzyku, brzydkie chmurzyska
Za szeleszczące topole,
A ty, słoneczko, przez szyby błyskaj
I czekaj na mnie przy szkole.

Po lekcjach wezmę lusterko w rączki,
Wyjdę na nasze podwórze,
Będziemy razem puszczać zajączki...
Tylko ten wierszyk powtórzę...

HONORATA CHRÓŚCIELEWSKA

ALINA GRABOWSKA

Pourlopowe refleksje

UDERZANIE po KIESZENI

W jednej ze swych książek Melchior Wańkowicz wspomina, jak to przed wojną wybrał się wraz z całą rodziną gdzieś na Podhale. Szli, szli wreszcie postanowili zrobić postój u pewnego arendarza. Kolację otrzymali niezłą, wypoczęli, a rano zaprezentowano im dosyć pokaźny rachuneczek. Grubo przekraczający to, czego się spodziewali. Więc Wańkowicz protest zakłada. A arendarz na to, ze wzruszającą szczerością: — Panie, toż my na was parę miesięcy czekali...

Jest to historyjka kubek w kubek pasująca do sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie każdy, kto po jedenastu miesiącach pracy prag nie dwunasty miesiąc urlopowy, spędzić w jakiejkolwiek miejscowości uzdrowiskowej, w jakimkolwiek zakątku turystycznym, poczynając od najbardziej eksponowanych — takich jak Zakopane, Sopoty lub Krynica, a kończąc na zapadłej dziurze Pojezierza Mazurskiego.

Zacznijmy jednak od pewnych stwierdzeń ogólnych. Są one oczywiste, nieomal banalne, lecz nie oznaczą to ażeby płynęły z nich jakiekolwiek wnioski praktyczne. Są tak oczywiste, że aż wstyd się na nie powoływać! Skoro jednak „Odgłosy" podjęły poważną kampanię „o turystykę dla Łodzi i łodzian" — warto może temat rozszerzyć. To już nie jest sprawa wystarczającej ilości domków campingowych nad Wartą i Pilicą, ale sprawa która boleśnie odczuwa każdy obywatel ponad 30-milionowego państwa, niezależnie od tego czy swoje 11

Dalszy ciąg na str. 8

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

Pierwszy rok wielkiej reformy (I)

SPRAWY do ZAŁATWIENIA

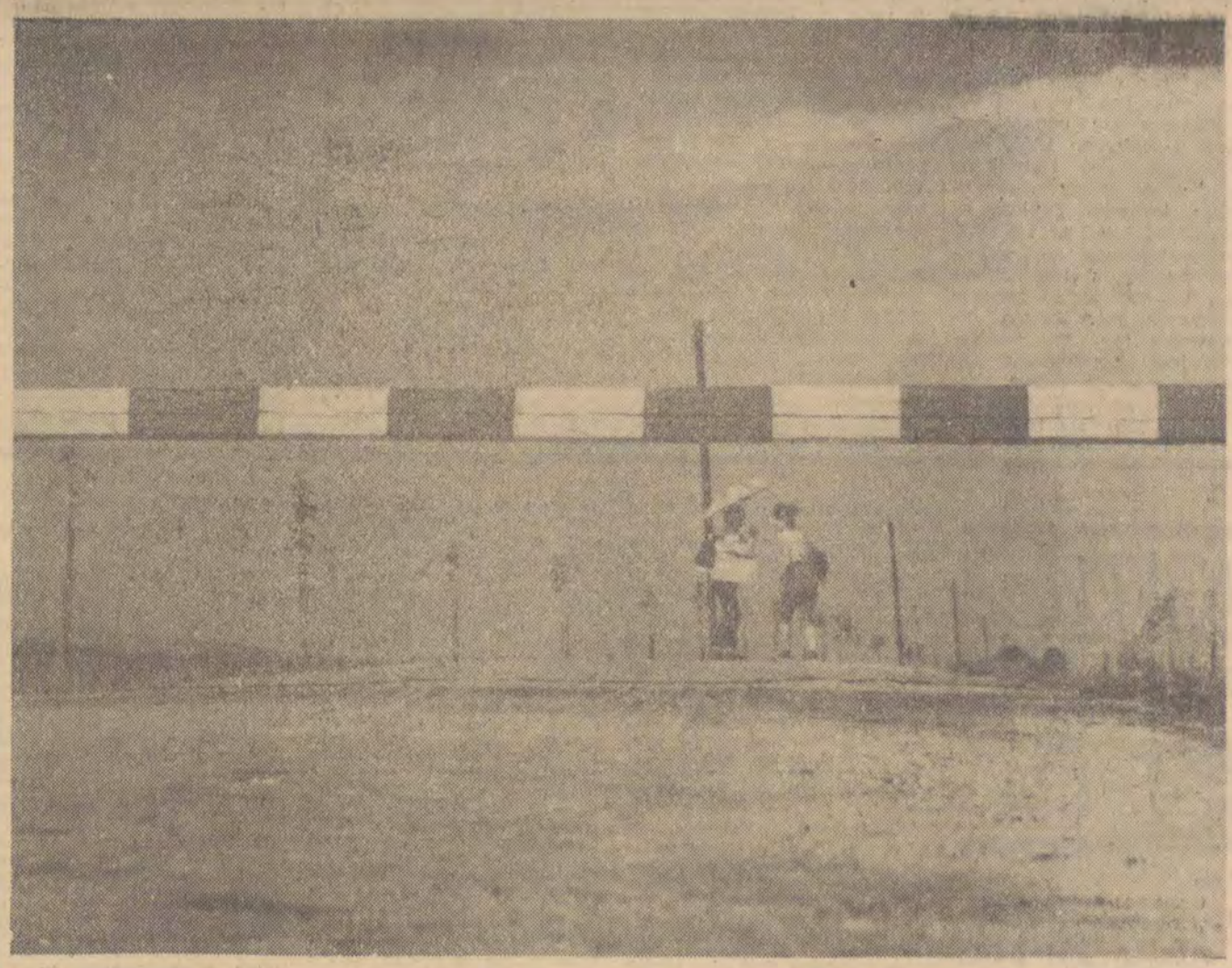

Jest rzeczą niezmiernie trudną ukazać w jednym artykule sytuację łodzkiego szkolnictwa. Pierwsza część takiego artykułu musiałaby mieć charakter „drewnianej piły" najeżonej liczbami, druga bardzo ryzykowna boć przecież autor osobiście w pracy na tej „niwie" zaangażowany mógł by swoje gospodarstwo przechwalić. Wolę więc pozostawić ocenę tzw. czynnikom i społeczeństwu, a samemu pozwolę sobie tylko na ukazanie węzłowych moim zdaniem, problemów łódzkiego szkolnictwa.

Nasi milusińscy, czyli o przedszkolach. Notujemy wyraźny wzrost — 1945—1946 przedszkoli z 3312 dziećmi, 1962 — 142 przedszkoli z 15.525 dziećmi. Po roku 1945 — wybudowaliśmy 26 przedszkoli, (do końca roku 1965 wybudujemy jeszcze 18), a jednak ogromny wysiłek w tej dziedzinie nie zaspokoi potrzeb. Szybciej niż budynki rodzą się dzieci. Daleko szybciej. W naszym mieście mamy około 35.000 dzieci (w wieku przedszkolnym), których rodzice pracują. Wynika z tego, że **około 20.000 dzieci nie znajduje miejsca w naszych przedszkolach.**

Czytelnicy, którzy mają dzieci w wieku lat 4—6 wiedzą, co to znaczy. Częściowo będziemy chcieli temu zaradzić otwierając przy szkołach podstawowych „klasy przedszkolne".

W tym roku szkolnym i w przyszłym będziemy mieli poważne trudności kadrowe. W tej chwili np. zapotrzebowanie na kadry wychowawczyń przedszkoli wynosi 129 osób, a nasze Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli dało w bieżącym roku 26 absolwentek. Braki te trzeba „łatać" maturzystkami liceów ogólnokształcących, które już pracując będą uzupełniały braki kwalifikacji pedagogicznej na tzw. Państwowym Kursie Nauczycielskim.

Po uruchomieniu takich kierunków w studiach nauczycielskich jak np. wychowanie fizyczne i filologia rosyjska (w tych specjalnościach odczuwaliśmy najpoważniejszy brak kwalifikowanych nauczycieli) w zasadzie poważniejszych trudności kadrowych w realizacji reformy szkolnej na terenie naszego miasta nie przewidujemy. Wszystkie 153 szkoły podstawowe plus kilka nowych, które przybędą do roku 1965 zostaną „przemianowane" z siedmio na ośmioletnie. Będziemy mieli wychowawców i dla przedszkolaków i dla reszty. (Chociaż nie tylko o to chodzi w owej reformie, ale do tego pozwolę sobie jeszcze wrócić). Rysuje się poważny brak budynków szkolnych w dzielnicy Śródmieście (średnia ogólnokrajowa — 41 dzieci na 1 izbę lekcyjną, a w naszym śródmieściu — 66, Łódź — 60), ale chyba i tę sprawę jakoś rozwiążemy. Już w nowym roku szkolnym klasy I, II, III, IV, będą realizowały nowy program szkoły ośmioletniej. W przyszłym roku 1963-64 kl. V, a równocześnie IX Liceum uczyć się będzie wg

Dokończenie na str. 2

SPRAWY do ZAŁATWIENIA

Dokończenie ze str. 1

nowego programu również 4-letniego, ale opartego już na bazie 8-klasowej szkoły podstawowej. Tak więc w roku szkolnym 1966-67 będziemy już mieli pełną podstawową szkołę ośmioletnią i na niej oparte czteroletnie liceum.

CO ZE SZKOLNICTWEM ŚREDNIM?

To nieprawda, że szkolnictwo średnie spędza nam sen z oczu. Na dobrą sprawę możemy wszystkim 12.701 absolwentom szkół podstawowych zapewnić w nim miejsca. Dysponujemy 31 liceami ogólnokształcącymi, 18 technikami, 23 Zasadniczymi Szkołami Zawodowymi i 25 Zasadniczymi Szkołami Zakładowymi z 15 tys. miejsc.

Przed Kuratorium stanęło kilka zagadnień, bardzo istotnych z punktu widzenia struktury zatrudnienia w naszym mieście. A więc i stosunek ilościowy młodzieży w szkołach średnich zawodowych, a w liceach ogólnokształcących, stosunek ilościowy młodzieży kształcącej się w szkołach zawodowych przygotowujących kadry techniczne (technika) i robotników kwalifikowanych (Zas. Szk. Zawodowe). Należy tu uwzględnić potrzeby kształcenia w zakresie nowych specjalności.

Staramy się pamiętać o tym, że chłopiec, który dziś wstępuje do technikum, pójdzie do pracy z dyplomem technika dopiero w roku 1966 lub 1967 i o tym, że postępująca modernizacja przemysłu (mechanizacja, automatyzacja) zmienia proporcje zatrudnienia fachowców (np. procent zatrudnienia mechaników, energetyków czy nawet chemików w przemyśle włókienniczym lub w budownictwie!). Na ustalenie odpowiednich proporcji dość nieoczekiwany wpływ ma również sprawa naboru na wyższe uczelnie. Mianowicie wobec feminizacji liceów wyższe szkoły techniczne (zwłaszcza) w coraz większym stopniu będą przyjmować absolwentów techników, którzy zatem po ukończeniu szkoły średniej nie pójdą do zakładu pracy, lecz będą studiować. No, a dziewczęta? Trzeba dla nich znaleźć jak najwięcej miejsca w szkołach zawodowych.

Bierzemy więc pod uwagę te wszystkie momenty, uwzględniamy ogólnokrajowe wskaźniki przy współudziale MKPG, konsultujemy się ze Zjednoczeniami poszczególnych przemysłów, a nawet większymi zakładami i w rezultacie Kuratorium opracowało perspektywiczny plan rozwoju szkolnictwa zawodowego w Łodzi. Musimy pochwalić się przy tej okazji, według oświadczenia wiceministra Oświaty inż. Godlewskiego, kuratorium nasze pierwsze w kraju podjęło się opracowania takiego długofalowego planu.

Ustalamy zatem, że szkoły zawodowe przyjmują poczynając od roku 1975, 70 proc. absolwentów szkół podstawowych (w r. 1961—62,5 proc., a więc procent ten będzie stopniowo wzrastał) reszta — odliczywszy ok. 2 proc. na szkoły średnie resortu kultury i zdrowia — tj. ok. 28 proc. pójdzie do liceów ogólnokształcących. Poza tym w szkołach zawodowych musi znaleźć się miejsce dla ok. 1.700 uczniów z terenów województwa łódzkiego i dalszych. Uwzględniając zapotrzebowanie przemysłu na techników i wykwalifikowanych robotników (stosunek jak 1:2,85, a poczynając od roku 1970 1:2,34) i biorąc pod uwagę krótszy okres nauki w zasadniczych szkołach zawodowych niż w technikach ustaliliśmy odpowiedni stosunek, który w liczbach bezwzględnych kształtowałby się następująco:

rok	Technika	Zw. Zaw. dla prac.	Zw. przyzakład. dla prac.
1961	2.809	3.980	3.811
1965	3.800	4.120	4.080
1970	3.880	3.770	4.050
1975	3.420	2.480	3.000
1980	3.420	2.480	3.000

Sytuację najcięższą notujemy na odcinku szkół przyzakładowych. Duży kłops — można powiedzieć. W większości bowiem są to szkoły małe, korzystające z pomieszczeń w budynkach szkół podstawowych.

Żeby nadążyć za unowocześnianym przemysłem, a w szczególności za zmieniającym się profilem przemysłu łódzkiego chcemy jeszcze w bieżącej 5-latce w 10 nowych technikach i szkołach zasadniczych wprowadzić 10 nowych specjalności m. in.: w dziedzinie elektroniki aparatury jądrowej, budowy maszyn energii jądrowej, obsługi aparatury defektoskopowej, telewizji, radiotechniki, chłodnictwa, pralnictwa chemicznego, architektury itd. Jak więc widzicie — staramy się nie pozostawać w tyle. Ale nie tylko. Staramy się także — zapewnić pracę absolwentom naszych szkół.

W porozumieniu z Ligą Kobiet i na podstawie danych uzyskanych z Urzędu Zatrudnienia pragniemy doprowadzić do tego, żeby w szkołach zawodowych znalazło się 45 proc. dziewcząt uczących się nie tylko w kierunkach tradycyjnie „babskich" (handel, usługi, szkoły odzieżowe, galanteryjne, włókiennicze), ale również w szkołach o takich kierunkach jak telekomunikacja, mechanika precyzyjna, geodezja. Z myślą przede wszystkim o dziewczętach otwieramy nowe technikum o kierunku — architektura.

Wykonanie tego planu wymagać będzie dużego wysiłku miasta w dziedzinie budownictwa nowych szkół, warsztatów i internatów. Ale też trzeba stwierdzić, że w tej dziedzinie horoskopy są pomyślne. O ile dotąd szkoły zawodowe miały sytuację zdecydowanie złą, co zawdzięczamy „troskliwej" opiece byłego świętej pamięci CUSZ-u, bądź resortom, którym dawniej szkolnictwo zawodowe podlegało, o tyle po przejęciu go przez rady narodowe, sytuacja uległa radykalnej zmianie na lepsze. Stan w tej dziedzinie i zamierzenia na najbliższą przyszłość ilustruje poniższa tabelka.

Liczba szkół zawodowych wybudowanych, względnie zaplanowanych:

lata 1945—60 — 4
1961—62 — 5
do 1965 — 8
„ 1980 — 8
„ 1975 — 2
„ 1980 ——

Żeby nadążyć za unowocześnianym przemysłem, a w szczególności za zmieniającym się profilem przemysłu łódzkiego chcemy jeszcze w bieżącej 5-latce w 10 nowych technikach i szkołach zasadniczych wprowadzić 10 nowych specjalności m. in.: w dziedzinie elektroniki aparatury jądrowej, budowy maszyn energii jądrowej, obsługi aparatury defektoskopowej, telewizji, radiotechniki, chłodnictwa, pralnictwa chemicznego, architektury itd. Jak więc widzicie — staramy się nie pozostawać w tyle. Ale nie tylko. Staramy się także — zapewnić pracę absolwentom naszych szkół.

W porozumieniu z Ligą Kobiet i na podstawie danych uzyskanych z Urzędu Zatrudnienia pragniemy doprowadzić do tego, żeby w szkołach zawodowych znalazło się 45 proc. dziewcząt uczących się nie tylko w kierunkach tradycyjnie „babskich" (handel, usługi, szkoły odzieżowe, galanteryjne, włókiennicze), ale również w szkołach o takich kierunkach jak telekomunikacja, mechanika precyzyjna, geodezja. Z myślą przede wszystkim o dziewczętach otwieramy nowe technikum o kierunku — architektura.

Wykonanie tego planu wymagać będzie dużego wysiłku miasta w dziedzinie budownictwa nowych szkół, warsztatów i internatów. Ale też trzeba stwierdzić, że w tej dziedzinie horoskopy są pomyślne. O ile dotąd szkoły zawodowe miały sytuację zdecydowanie złą, co zawdzięczamy „troskliwej" opiece byłego świętej pamięci CUSZ-u, bądź resortom, którym dawniej szkolnictwo zawodowe podlegało, o tyle po przejęciu go przez rady narodowe, sytuacja uległa radykalnej zmianie na lepsze. Stan w tej dziedzinie i zamierzenia na najbliższą przyszłość ilustruje poniższa tabelka.

Liczba szkół zawodowych wybudowanych, względnie zaplanowanych:

lata 1945—60 — 4
1961—62 — 5
do 1965 — 8
„ 1980 — 8
„ 1975 — 2
„ 1980 ——

„dochodzących". Wg nowych planów zatrudnienia w r. 1965 na blisko 3.000 zatrudnionych „dochodzących" będzie około 900, a w roku 1970 liczba ta spadnie do 600. Tylko od nauczyciela etatowego, związanego ze szkołą, która jest dla niego podstawowym źródłem utrzymania, wymagać można dużego oddania się zarówno pracy dydaktycznej jak i wychowawczej.

WOŁAMY: SOS!

Sytuacja w szkolnictwie licealnym jest bardziej usatysfakcjonowana, nie doświadczyło ono dobrodziejstw tylu „reorganizacji" co zawodowe) nie mniej sprawność naszych liceów jest jeszcze daleka od ideału. Z 2641 uczniów, którzy wstąpili do klasy VIII w roku 1958 matury otrzymało w roku 1962 1031 tj. niespełna 40 proc. Kadra pedagogiczna na ogół wysokowykwalifikowana i w dużym procencie doświadczona, ale już dziś odczuwamy brak np. nauczycieli fizyki i języka rosyjskiego. Co gorsza nie bardzo widać skąd może przyjść poprawa. Np. w bieżącym roku szkolnym ukończyło Uniwersytet Łódzki 11 magistrów fizyki, z tych tylko 1 wyraził chęć podjęcia pracy w szkole, a tymczasem Kuratorium m. Łodzi zgłosiło zapotrzebowanie na 27 (!)

Jak wiadomo filologii rosyjskiej od kilku lat na Uniwersytecie Łódzkim nie ma, a tymczasem szkolnictwo średnie potrzebuje 17 rusycystów. Dlatego wołamy do pana Ministra: SOS!

Wyraźny postęp zanotować trzeba w dziedzinie politechnizacji: w ostatnim roku szkolnym powstało w naszych liceach 40 nowych pracowni technicznych na ogół dobrze wyposażonych dzięki dużym sumom, jakie na ten cel przyznało państwo z budżetu centralnego i nasza Rada Narodowa. Z przykrością stwierdzić jednak wypada, niemal brak kompletny nauczycieli do zajęć technicznych. Wydaje nam się, że najwłaściwszą i najszybszą drogą uzyskania kwalifikowanych nauczycieli tego przedmiotu byłoby stworzenie przez Ministerstwo Oświaty możliwości zdobycia kwalifikacji nauczyciela szkoły średniej przez absolwentów Studium Nauczycielskiego (kierunek — prace ręczne) w drodze egzaminu uproszczonego. Jak wiadomo zwykły młotek sam gwoździa nie wbije, najlepsza maszyna sama pracy nie wykona.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

informacje i zaczepki

W niemieckim wydawnictwie „Eulenspiegel" ukazała się publikacja zatytułowana „Korowód wesołych obrazków z kraju sąsiada". W książce prezentowane są utwory 20 polskich satyryków. Miło nam donieść, że wśród tej „kadry narodowej" znajduje się Kazimierz Baraniecki z łódzkiej „Karuzeli".

●

Łowicz wzbogaci się niebawem o nowy, luksusowy hotel turystyczny na blisko 150 miejsc. Przyjemność ta kosztować ma prawie 7 milionów, ale wydatek to naprawdę potrzebny. Każdy kto widział ów obskurny hotelik „zdobiący" obecnie Łowicz przyzna tu rację.

●

Ostatnia „Nowa Kultura" przynosi kolumnę wierszy, na której znajdujemy utwory dwu łódzkich poetów Tadeusza Chróścielewskiego i Jana Koprowskiego. Natomiast w poprzednim numerze tego tygodnika czytaliśmy trzy wiersze J. M. Rymkiewicza.

●

Wszystkim naszym Czytelnikom polecamy obejrzenie w auli Biblioteki Uniwersyteckiej wystawy projektów łódzkich architektów, jakie opracowane zostały na przestrzeni ostatnich dwu lat. Wystawa jest pomysłem dość chytrym. Zobaczymy na niej mianowicie co w ciągu tego okresu nie zostało zrealizowane i czy jest czego żałować.

●

Niedawno w naszym mieście powołano Miejskiego Konserwatora Zabytków. Warto dodać, że jest to wynik długotrwałej i uporczywej akcji Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Konserwatorem został historyk sztuki mgr Tadeusz Byczko.

●

W najnowszym (lipiec — sierpień 1962) Biuletynie Okręgu Łódzkiego PTT-K opublikowano ciekawy, kilkunastostronicowy „Zarys dziejów Łodzi" pióra Zdzisława Konickiego. Ze szkicu podajemy warią odnotowania ciekawostkę: otóż Łódź jako pierwsza w Polsce wprowadziła w roku 1919 przymus powszechnego nauczania. A więc za dwa lata obchodzić możemy 45-lecie tego doniosłego faktu.

●

Ostatnio na ulicach Łodzi pokazali się handlarze oferujący przechodniom specyficzne gwizdawki. Składają się one z piszczałki i... pewnego środka zapobiegawczego produkowanego przez rodzimy przemysł gumowy. Rodzice przejawiają jednak wyraźną niechęć do owych „pomysłowych" zabawek i towar raczej nie idzie. A swoją drogą, czy nie ma komu zadbać o to, aby na ulicach Łodzi nie spotykało się scenek godnych odpustu w Pikutkowie?

J. W.

KORESPONDENCJA

DO
OB. REDAKTORA
„ODGŁOSÓW"

W numerze 33/233 łódzkiego tygodnika „Odgłosy" z dnia 19 sierpnia 1962 r. ukazał się artykuł p. Andrzeja Brychta z cyklu „Baedeker Gastronomiczny" pt. „Potem kino, kawiarnia i spacer" zawierający stek wysoce krzywdzących mnie insynuacji, których opublikowanie narusza elementarne normy etyki dziennikarskiej.

P. Brycht opisując swoje wrażenia z kawiarni „Egzotyczna", nie miał żadnego prawa do publicznego, złośliwego i karykaturalnego opisu mojego wieku i wyglądu.

Ponadto zupełnie bezpodstawnie i kłamliwie podaje, iż „spacerowałam po lokalu pod rauszem", prowadząc do tego z chuliganami rozmówki głośno i gęsto krasząc łaciną. P. Brycht nie ma i nie może mieć na to jakichkolwiek dowodów.

Jak wynika choćby z treści wspomnianego artykułu, wiadomości swoje na temat kawiarni, którą mam nieszczęście kierować, p. Brycht czerpał od owych „młodych cwaniaków", którzy przysparzają tylko kłopotu mnie, personelowi kawiarni oraz wszystkim tym, którzy są zainteresowani, by młodzież w miejscach publicznych zachowała minimum kultury.

Jest rzeczą znamienną, że p. Brycht natchnienia do swojego artykułu czerpał u młodych chuliganów, których zachowanie opisane w omawianym artykule, dobitnie świadczy o kulturze, także i uczciwości informatorów p. Brychta.

P. Brycht pochlebia sobie przedstawiając się w roli dziennikarskiego Kolumba odkrywającego „Egzotyczny" ląd. Nieszczęście w tym, że trafił na ląd dawno odkryty i gęsto skolonizowany.

Otóż faktem jest, że oprócz rozwydrzonych chuliganów, którzy w kawiarni „Egzotycznej" bywają, często w stanie nietrzeźwym i nastroju „bojowym", przychodzi do tej kawiarni duża grupa stałych bywalców, do której należą osoby powszechnie w naszym mieście szanowane, w tym także wielu łódzkich dziennikarzy, np. pp.: Chruścielewski, Lesman, Drzewińska, Bąbol, Beck, Nienacki.

Z uwagi na walory moralne i umysłowe osoby te są niewątpliwie bardziej odpowiednie do wydania wszechstronnej i obiektywnej opinii co do mojej osoby, warunków mojej pracy oraz klimatu i stosunków panujących w kierowanej przeze mnie kawiarni.

Nie sądzę, by p. Brycht przystępując do pisania omawianego artykułu, nie wiem dla jakich przyczyn wolał korzystać z jednostronnej, wątpliwej wartości opinii łódzkich chuliganów.

Informatorzy p. Brychta nie mogli oczywiście przedstawić mnie w korzystnym świetle, ponieważ już jedenasty rok w miarę swojej kobiecej możliwości staram się jak najlepiej wywiązywać z nałożonych na mnie obowiązków kierowniczki młodzieżowej kawiarni i w miarę swoich skromnych środków staram się hamować wybujałe temperamenty młodych łódzkich cwaniaków.

Jeżeli p. Brycht zdolny jest do zachowania minimum obowiązującego dziennikarza obiektywizmu, nie może nie zdawać sobie sprawy, że kierowanie takim lokalem jak kawiarnia „Egzotyczna" nie jest rzeczą łatwą.

P. Brycht kłamliwym artykułem wyrządził mi dużą krzywdę moralną po jedenastu latach uczciwej i ofiarnej pracy na stanowisku kierowniczki kawiarni „Egzotyczna". Dotychczas byłam uważana za dobrego pracownika cieszącego się zaufaniem zarówno kierownictwa przedsiębiorstwa, jak również osób korzystających z usług kawiarni.

Artykuł p. Brychta noszący wszelkie znamiona paszkwilu poderwał zaufanie, jakim cieszyłam się w swoim środowisku.

Z uwagi na okoliczności, które wyżej przytoczyłam, uprzejmie proszę Obywatela Redaktora o wydrukowanie tego listu na łamach „Odgłosów", ponieważ właśnie w „Odgłosach" ukazał się godny pożałowania artykuł p. Brychta.

ERIKA MIROŃSKA

SZANOWNA
I ŁASKAWA PANI!

Czuję się w obowiązku złożyć zarówno Pani, jak i Czytelnikom „Odgłosów" kilka niezbędnych wyjaśnień. Doprawdy nie miałem zamiaru uchybić Pani czci formułując określenie „dość korpulentna jejmość w pobalzakowskim wieku". Jestem przekonany, że określenie to nie zawiera absolutnie żadnego elementu obrażającego Pani godność — składa się bowiem z przyjętych w powszechnym użyciu a wywodzących się z bogatej tradycji literatury pięknej zwrotów.

W liście swoim aż cztery razy raczy Pani użyć epitetu „chuligani" i dwa razy „cwaniacy" na określenie młodej klienteli „Egzotycznej". Bardzo mnie to boli — wiadomo bowiem powszechnie, że młodzież w „wieku poborowym" (znów tradycyjne sformułowanie, co będzie, gdy się na mnie cała młodzież łódzka obrazi?) lubi hałasować, uzewnętrzniać w sposób nieraz przykry dla otoczenia olbrzymi zapas sił witalnych, przejawia także skłonność do łamania autorytetów (tu właśnie tkwi najpoważniejszy szkopuł wychowawczy!), ale nie wolno, absolutnie nie wolno deprecjonować wyższych wartości moralnych, kiełkujących w tych młodych ludziach, przeciwnie, należy pomóc im przyobiec te wartości w korzystne społeczne formy. W naszej sytuacji także i kawiarnia, a dla niektórych środowisk przede wszystkim, powinna odgrywać rolę placówki wychowawczej, a przynajmniej nie placówki o wręcz odmiennym profilu. Za przykład umiejętnego kierowania zachowaniem młodych bywalców kawiarni niech posłuży działalność kierownictwa kawiarni „Teinka" oraz personelu kawiarni „Łowicka". W obydwu przypadkach rola „wychowawców z konieczności" przypada kobietom. I one w „miarę swojej kobiecej możliwości" potrafiły grzecznym i godnym zachowaniem, narzucić posłuch i szacunek dla siebie dużym grupom „rozwydrzonych i bojowych chuliganów", one właśnie stworzyły klimat kawiarni taki, jakiego ze szczerego serca życzę „Egzotycznej".

Pragnę w końcu zapewnić Panią, że moje paroletnie doświadczenia dziennikarskie nie pozwoliły mi bezkrytycznie podawać do publicznej wiadomości faktów nieprawdziwych. Informatorami moimi nie były osoby karane za wybryki chuligańskie, a już ocenę różnicy poziomów umysłowych między tymiż, a bywającymi w „Egzotycznej" (rzadko zresztą) „powszechnie szanowanymi osobami" możemy sobie z powodzeniem darować.

Zdaję sobie sprawę, że kierowanie takim lokalem jak „Egzotyczna" nie jest rzeczą łatwą. Ale — proszę wybaczyć — jestem przekonany, że „Egzotyczna" jest „takim lokalem" właśnie dlatego, że jest źle kierowana. Raczy Pani wątpić, czy mogę mieć i czy mam na to dowody. Otóż mogę i mam, w przeciwnym wypadku nie pisałbym interesującego nas artykułu, byłaby to wątpliwa i ryzykowna przyjemność. Fakt, że dopiero mój artykuł „poderwał jednastoletnie zaufanie" władz ŁZG do Pani, jako kierowniczki lokalu — wydaje się w pełni potwierdzać społeczną konieczność powstania tegoż artykułu.

Pozostaje z szacunkiem
ANDRZEJ BRYCHT

O. M. PIROŻYŃSKI o dr. MARCINKOWSKIM

Nie było nam jednak danym zakończyć ostatecznie dyskusji związanej z wycięciem — na skutek interwencji dr Marcinkowskiego — sceny gwałtu w filmie „Matka i córka". Stanowisko jakie w tej sprawie zajął dr Marcinkowski z Krakowa, znany seksuolog i ateista, wydało się nam zbieżne ze stanowiskiem i poglądami, jakie swojego czasu w swej sławnej broszurze „Co czytać"? zajął o. Marian Pirożyński, z którym tą tak zaciętą polemikę toczył ongiś Boy-Żeleński. Dlatego artykułowi polemizującemu z poglądami dr Marcinkowskiego daliśmy tytuł: „Powrót ojca Pirożyńskiego". Dr Marcinkowski bardzo się obraził na podobne porównanie, jako, że jest ateistą i człowiekiem postępowym, a więc tym samym poglądy jego nie mogą być zbieżne z obłudą seksualną i obskurantyzmem reprezentowanym przez o. Pirożyńskiego.

Do redakcji naszej nadesłał list Ojciec Marian Pirożyński. Jak najbardziej solidaryzuje się on z poglądami dr Marcinkowskiego. Okazuje się więc, że mieliśmy rację, a dr Marcinkowski nie miał potrzeby gniewać się na nas. Nie wystarczy uważać się za człowieka postępowego. Trzeba mieć jeszcze rzeczywiście postępowe poglądy na zagadnienia dzieła sztuki. Oczywiście, jest dość zabawne, gdy znany wojujący ateista i wojujący katolik są tak jednomyślni.

REDAKCJA

DO REDAKCJI „ODGŁOSÓW"
w Łodzi

Dopiero wczoraj doszedł do moich rąk nr 30 „Odgłosów z dn. 29. VII. br. Ponieważ jest w nim mowa o mnie, uważam za stosowne wypowiedzieć swoje stanowisko w dyskusji.

Wypowiedź dra Marcinkowskiego przeczytałem z wielką satysfakcją. Nie chodzi mi o formę artykułu, wybitnie zabarwioną uczuciem i uprzedzeniami, bardzo daleką od wersalskiej ogłady, ale o jego doniosłą treść, która się wyraża w następujących słowach:

„Sprawy etyki seksualnej i wychowania seksualnego, jako związane z najpotężniejszym, a przeto i najniebezpieczniejszym — w razie złego utorowania — instynktem człowieka, stają się coraz bardziej problemami i tematami dnia. Ich konsekwencje prawne i społeczne będą miały decydujące znaczenie dla przyszłości, dla bezpieczeństwa rodziny i kobiety, dla interesu dziecka, a więc dla interesu i bezpieczeństwa społeczeństwa. Było by pożądane, aby film, TV, publicystyka i magazyny nie prowadziły w tych sprawach innej polityki niż ta, którą reprezentuje wiedza lekarska, pedagogiczna, socjologiczna".

Przytoczyłem słowa, w których dr Marcinkowski głęboko sformułował postulaty wychowania seksualnego. Takie samo stanowisko zająłem pisząc dla rodziców, wychowawców i kierowników czytelni swój poradnik „Co czytać"? Celem tej książki było dobro młodzieży i w ogóle rozumne pokierowanie kulturą masową. Cieszę się z tej jedności poglądów w sprawach tak zasadniczych. Wyrażam najwyższe uznanie drowi Marcinkowskiemu za prawość Jego etyki seksualnej, jak również za odwagę w głoszeniu zasad obecnie bardzo niemodnych.

Pozostaję z należnym szacunkiem
O. Marian Pirożyński

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

Korespondencja

Z uwagą przeczytałam w 31 nr Waszego pisma z dnia 5. VIII. 62 r. artykuł Wiesława Stachlewskiego pt. „W krainie bajki" i pragnę wyrazić swoje zdziwienie, że autor podając tak skrzętnie nazwiska wszystkich twórców i współtwórców filmów lalkowych w Tuszynie, nie wspomniał mojego nazwiska jako wykonawczyni większości rzeźb w tych licznych zabiotkach z zestawami lalek, a nawet z artykułu autora wynika, że rzeźbę, którą widzimy na rycinie obok artykułu wykonał M. Pach względnie W. Piątkiewicz.

Pragnę wyjaśnić, że głowa Diogenesa umieszczona na rycinie jest moim dziełem (według rysunku K. Mikulskiego) tak zresztą, jak wiele innych, które autor oglądał w „Sezama-fo-rze". (Wykonałam ponad 100 główek dla studia w Tuszynie).

Janina Formańska
Łódź, ul. Biegańskiego 10

EKRANIK

❖ Twórca „Cichego Donu" reż. Gierasimow realizuje w Wytwórni im. Gorkiego nowy film „Wiedeński las" wg scenariusza Grigoriewa i zachodnioniemieckiego pisarza Arno Reinfranka. Tematem filmu jest przyjaźń młodego Niemca z NRF z radziecką studentką. W rolach głównych grają Zanna Prochorenko, znana u nas z „Ballady o żołnierzu" oraz aktor monachijski Helmut Kirchner.

* * *

❖ Ostatnio prasa zachodnia wiele uwagi poświęca filmowi zrealizowanemu przez pięciu reżyserów różnych narodowości — „Miłość dwudziestolatków". Jak do tej pory najlepiej wg opinii zachodnich krytyków wypadła polska nowela rżyserowana przez Andrzeja Wajdę. Tygodnik francuski „Les Lettres Francaises" pisze: „Nowela polska należy niewątpliwie do najbardziej wypracowanych. Jest to chyba najdoskonalsze dzieło (?) tego znakomitego reżysera. Nowela Wajdy jest bardzo interesująca, pełna prawdy i ludzkiego ciepła. W osobie bohatera odnajdujemy dużo z samego Wajdy, wyraźną obsesję wojenną, która dostarczyła mu tematów do wszystkich prawie filmów".

W innym znanym tygodniku francuskim „Arts" krytyk Jean-Louis Bory pisze na temat „Miłości dwudziestolatków": „Bez chwili namysłu mogę stwierdzić, że najbardziej ze wszystkich nowel podoba mi się nowela reżysera Wajdy, niewątpliwie najzdolniejszego twórcy młodego filmu polskiego". Zachodnioniemiecki krytyk filmowy Georg Hersberg w piśmie „Film-Echo — Film Woche" za najsłabszą nowelę uważa włoską reżyserowaną przez Renze Rosseliniego, syna Roberta Rosseliniego, twórcy „Rzymu miasta otwartego". Najwyżej zachodnioniemiecki krytyk ocenia nowelę francuską Truffauta (reż. Truffauta, twórcy „400 batów") oraz polską Andrzeja Wajdy pisząc: „Część polska jest również dobra... Film oświetla w godny uwagi sposób stosunek młodego pokolenia polskiego, które okropności wojny odczuwa tylko jako blade wspomnienie z dzieciństwa do tych, którzy cierpieli z rozmysłem. Od strony technicznej (kamera i montaż) film jest osiągnięciem...".

* * *

❖ Znana powieść Curwooda „Włóczęgi północy" znalazła swe filmowe odbicie na ekranie w filmie wyprodukowanym przez Walta Disneya. Adaptacja filmowa tej powieści nosi tytuł „Nikki".

* * *

❖ Jedno z amerykańskich pism filmowych zwróciło się do Rene Claira o wypowiedź na temat Hollywood. Wielki reżyser odpowiedział: „To, co sądzę o Hollywood, można pięknie wyrazić słowami Corneilleа o zmarłym kardynale Richelieu — „Za wiele uczynił mi dobrego, bym o nim mógł mówić źle, a zbyt wiele złego, bym mógł mówić o nim dobrze...".

* * *

❖ Popularny francuski tygodnik „Cinemonde" ogłosił niedawno wyniki plebiscytu pod nazwą „Les Grands Prix Internationaux du Cinema" za rok 1962. Oto niektóre rezultaty tego plebiscytu: Sophia Loren uzyskała tytuł najpopularniejszej aktorki, zaś Jean Paul Belmondo najpopularniejszego aktora. Za najlepsze kreacje aktorskie uznano w filmie „Jules i Jim" Jeanne Moreau i Anthony Perkinsa w filmie „Czy pani lubi Brahmsa?"

* * *

❖ We Włoszech po dwu latach przerwy powróciła na ekran w filmie „Mamma Roma" — Anna Magnani. Reżyseruje pisarz i reżyser Pier Paolo Pasolini. Twórca „La Strady" Federico Fellini realizuje nowy film pod roboczym tytułem „Opus ósme i pół" z Anouk Aimee, Claudią Cardinale, Sandrą Milo oraz Marcello Mastroiannim. Rewelacyjnie zapowiada się obsada filmu Vinscontiego „Leopard", w którym udział biorą: Claudia Cardinale, Burt Lancaster i Alain Delon.

A. N.

W NOWYM FILMIE, KTÓRY REALIZUJE VADIM, GRAJĄ M. IN. CATTERINE DENEUVE, JEAN-PIERRE HONORÉ ORAZ CHARLES AZNAVOUR. SCENARIUSZ NAPISALI VADIM I ROGER VAILLAND.

Przed XVI Kongresem AICS

We wrześniu w dniach od 23 do 30 odbędzie się w Warszawie po raz pierwszy w Polsce Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Naukowego (Association Internationale du Cinema Scientifique). Od pewnego czasu działa komitet organizacyjny w skład którego wchodzi m. in. reż. Roman Woźniakowski, realizator WFO.

— Panie Romanie, proszę określić zadania jakie stawia sobie AICS?

— Na świecie produkuje się rocznie około 20.000 filmów naukowych. Z grubsza biorąc są trzy rodzaje filmów naukowych: **badawcze** — to filmy, które rejestrują nowe metody techniki filmowej, filmowania jakichś zjawisk; **dydaktyczne** — te, które posługują się doświadczeniami filmów badawczych w przekazywaniu jakiejś tezy naukowej; **popularno-naukowe** — to filmy wykorzystujące doświadczenia obu wymienionych kierunków, ukazują w sposób przystępny dla każdego widza zagadnienia ze wszystkich prawie dyscyplin naukowych. Będą to więc filmy z dziedziny medycyny i historii sztuki, fizyki i biologii, matematyki i etnografii itd. Odpowiednio do tych kierunków pracują w AICS trzy komitety. W tej chwili w Warszawie odbywa się selekcja zgłoszonych na Kongres filmów dydaktycznych. Komisji tej przewodniczy dr Tadeusz Dąbrowski. Pozostałe dwie komisje selekcyjne filmów badawczych i popularno-naukowych działają w Łodzi pod przewodnictwem reż. Karola Marczaka i moim. Działalność AICS nie ogranicza się tylko do organizowania dorocznych kongresów i festiwali. W stadium organizacji znajduje się komitet pomocy krajom zacofanym. Filmoteka naukowa jaka istnieje w Brukseli będzie dostarczała tym krajom filmy naukowe. AICS pomoże w kształtowaniu kadr filmowców, a także w uruchomieniu własnej produkcji filmów popularno-naukowych.

— Wspomniał Pan o działalności komisji selekcyjnej, może wobec tego kilka słów na temat filmów zagranicznych zgłoszonych na festiwal?

— Niestety, dotychczas jeszcze nie oglądaliśmy najciekawszych filmów, jakie zostały zgłoszone przez Związek Radziecki, Stany Zjednoczone, Anglię, Francję i Belgię. Z dotychczas obejrzanych wyróżniają się filmy rumuńskie, są miłym zaskoczeniem. Ich twórcy zrobili naprawdę olbrzymi postęp.

— Jakie filmy będą reprezentowały Polskę?

— Wśród popularno-naukowych zgłoszono bardzo ciekawy film, reż. Marczaka „Śluzowce", który ukazuje gatunek żyjątek na pograniczu świata roślinnego i zwierzęcego. Rozwojowi form żywych poświęcony jest bardzo dobry film reż. Arkusza „Życie trwa". Z zakresu medycyny społecznej pokażemy znany już film reż. Żukowskiego „Za winy nie popełnione" o dzieciach alkoholików. Ciekawym filmem zgłoszonym w dziale filmów badawczych jest zrealizowany przez reż. Popiel-Popiołka przy którym współpracował prof. dr Manteuffel — „Energetyczne źródła krążenia krwi", w którym dokumentowana jest hipoteza naukowa, że serce nie jest jedynym źródłem krążenia krwi.

— Czy zgłoszono także, któryś z Pańskich filmów?

— Wytwórnia Filmów Oświatowych zgłosiła mój film o twórczości malarskiej Aleksandra Gierymskiego „Malarz światła". Film ten realizowałem przy współpracy znanego historyka sztuki prof. dra Juliusza Starzyńskiego.

— Gdzie będzie obradować Kongres i w jaki sposób zgłoszone filmy zostaną udostępnione publiczności?

— Obrady Kongresu będą się odbywały w salach Pałacu Kultury i Nauki. Zgłoszono na festiwal około 180 filmów, spośród których jury pod przewodnictwem przedstawiciela Węgier Agostona Kollanyi'ego przyzna dyplomy. Filmy popularno-naukowe zostaną udostępnione publiczności na specjalnych seansach w kinie „Atlantic".

Rozmawiał: A. N.

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

Zjeść albo nie zjeść

czyli dylemat hamletowsko-gastronomiczny

Pan Nowak jadał w łódzkich restauracjach — pan Nowak wściekał się. Brud, szczwani kelnerzy, chuligani, pijacy, prostytutki, sutenerzy — oto przyczyny wściekłości pana Nowaka, wystawione pod pręgierz publiczny przez Andrzeja Brychta (Odgłosy nr 31 i 32) w „Łódzkim baedekerze gastronomicznym". Pan Nowak będzie nadal jadał w restauracjach (bo i cóż ma począć), ale pan Nowak nie może się ciągle wściekać. Osoby odpowiedzialne za łódzką gastronomię znajdą zapewne jakieś środki profilaktyczne. Ja chciałbym tylko zwrócić uwagę tych osób na nieco inny aspekt sprawy, który zechcą może uwzględnić w swoich twórczych poszukiwaniach.

KIESZEŃ I ŻOŁĄDEK

Oprócz Nowaków istnieją Kowalscy, którzy albo także wściekają się na gastronomię (może nie tylko na gastronomię), albo popadają w cichy pesymizm. Powiedzmy, że zarobek Kowalskiego, przedstawiciela wszystkich Kowalskich, wynosi około tysiąc pięćset złotych miesięcznie. Ale my będziemy mówili o 1000 złotych, które może przeznaczyć „na życie", za resztę musi przecież kupować ubranie i dziesiątki rzeczy, niezbędnych w domu. Kowalski jada w restauracjach, ponieważ jest sam lub ma żonę emancypantkę, która musi pracować zarobkowo i nie może zajmować się kuchnią. Oczywiście w takiej sytuacji skarbem nieocenionym byłaby teściowa. Kowalski nie ma jednak teściowej, albo teściowa Kowalskiego ma na głowie masę własnych kłopotów, wobec czego nie może dbać o kieszeń i żołądek swojego zięcia.

Siedzi więc Kowalski w restauracji, wodzi palcem po jadłospisie i szuka możliwie obfitego i wysokokalorycznego posiłku, który nie spowodowałby spustoszenia w jego miesięcznym budżecie, a wypełnił możliwie dokładnie jego żołądek i zapewnił mu siły do pracy i ochotę do życia. Szukanie takie wcale nie jest łatwe, jeżeli zważymy, że Kowalski nie może przeznaczyć na obiad więcej niż 13 zł dziennie. No bo przyjrzyjmy się z bliska miesięcznemu budżetowi Kowalskiego. Wydatki na obiady w cenie przeciętnej 13 zł wyniosą w zależności od ilości dni w miesiącu 390 lub 403 zł. Na śniadania i kolacje wyda 15 zł dziennie, co da w miesiącu 450 lub 465 zł. Kowalski może palić, a więc wyda na papierosy (jeżeli będą to Sporty) 90 lub 93 zł miesięcznie. Na obiady, śniadania, kolacje i papierosy wyda zatem w miesiącu 930 lub 961 zł. Na inne wydatki zostanie mu 70 lub 39 zł. Można za to pojeździć tramwajami. Gdyby Kowalski nie palił, zostałoby mu 120 lub 89 zł, ale gdyby palił Giewonty, nie mieściłby się już w budżecie.

Poci się tedy Kowalski nad jadłospisem, zatrzymuje wzrok na coraz to innym daniu i „zachodzi w głowę" — zjeść albo nie zjeść niby jakiś gastronomiczny Hamlet (nie mylić z omletem!). Kowalski musi „zachodzić w głowę", ponieważ jadłospisy w wielu restauracjach nie zawierają tak dużej rozmaitości obiadów w cenie do 13 zł, żeby można zjeść codziennie coś innego. Kowal-

ski nie może się przecież opychać dzień w dzień paprykaczem cielęcym, bigosem czy kluskami półfrancuskimi z sosem węgierskim. Musi się mocno trzymać w ryzach, gdy zobaczy, że sąsiad zajada schabowy i gdy kompleks niższości zaczyna mu włazić na plecy, żeby nie zamówić schabowego i nie zrobić szczerby w budżecie.

BŁYSK TALENTU

Kowalski nie żyje na księżycu. Kowalski żyje wśród rodaków. Rodacy dali już dowód troski o Kowalskiego. Wymyślili dla niego obiady popularne, których ceny kształtują się w pobliżu 10 zł. — Żyć nie umierać — powinien zawołać Kowalski. Nie zawołał. Poci się nadal nad dylematem — zjeść albo nie zjeść. Czemu? Zupy, a szczególnie dania główne obiadów popularnych powtarzają się w ciągu tygodnia stanowczo za często, do czego samorzutnie choć z zakłopotaniem przyznało się kilku kierowników zakładów. Wypisuję np. zestawy dań obiadów popularnych, a skonsternowany kierownik powiada: — Widzi pan, wczoraj już był ten kapuśniak i dzisiaj jest ten kapuśniak. — Więc co mam zapisać? — pytam ustępliwie, bo cieszy mnie to, że kierownik, chociaż trochę za późno, ale jednak krytycznie patrzy na swoje dzieło. — Może by pan zapisał, że wczoraj był rosół z makaronem? — słyszę nieśmiałą propozycję. — Dobra jest, panie kierowniku — przekreślam w notatniku kapuśniak i smaruję na jego miejsce rosół. Zmieniliśmy w ten sposób w moim notatniku kilka zup i dań głównych. Kierownik rozpływał się ze szczęścia.

Oj, panie kierowniku, wyobrażam sobie, jak rozmawiałby z panem radiowy Malinowski. A mimo wszystko ma pan przecież talent gastronomiczny, jeżeli potrafi pan tak na poczekaniu skomponować bogato urozmaicone obiady popularne na cały tydzień. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie czyni pan tego z dnia na dzień. Może i pan zastanowi się nad tym, panie kierowniku?

POPULARNE UBÓSTWO

Przejdźmy do konkretnych przykładów. W „Myśliwskiej", gdzie codziennie są trzy zestawy obiadów popularnych, powtórzyły się w ciągu tygodnia 6 razy kluski półfrancuskie z sosem węgierskim i to cztery razy zestawione z zupą jarzynową, sześć razy powtórzyła się jajecznica i to trzy razy dzień po dniu z zupą szczawiową z jajkiem. Poza tym był jeszcze cztery razy kalafior z ziemniakami i cztery razy bigos z ziemniakami. Kluski półfrancuskie, jajecznica i bigos stanowiły trzy dni z rzędu dania główne obiadów popularnych po dwu kolejnych dniach z kluskami półfrancuskimi, jajecznicą i kalafiorem.

W barze „Rekord", gdzie jest dziennie tylko jeden zestaw obiadu popularnego, w ciągu tygodnia głównym daniem tego obiadu był bigos z ziemniakami dwa dni z rzędu, potem dzień boczek pieczony z kapustą i ziemniakami, czyli prawie bigos, a następne dwa dni z rzędu kasza gryczana z sosem mięsnym. Poza tym obiad popularny stanowił raz tak wymyślny zestaw jak żur na kiełbasie z chlebem i mleko zsiadłe z ziemniakami. Cena tego zestawu była zachwycająca, tylko 7 zł, ale Kowalskiemu nie należałoby chyba zazdrościć wrażeń smakowych, gdyby owego dnia postanowił zjeść obiad popularny w „Rekordzie".

W „Podhalańskiej" obiady popularne są wyraźniej urozmaicone, chociaż i tam kluski półfrancuskie z sosem węgierskim oraz żurek z wędliną występują w jadłospisie 6 razy tygodniowo i to cztery razy w zestawie. Wśród 21 zestawów obiadów popularnych, które „Podhalańska" przygotowuje tygodniowo, były jednak tylko cztery dania mięsne — reszta to kluski półfrancuskie, omlety z cukrem, jajka sadzone, kapusta lub mizeria z ziemniakami, kasza gryczana z sosem grzybowym. Kowalski po takim omlecie (nie mylić z Hamletem!), kapuśniaku, mizerii czy jajkach sadzonych nie wykazywałby chyba energii przy pracy.

Niezłe urozmaicenie obiadów popularnych jest w „Słoniu", gdzie tylko raz w tygodniu był śledź, a pozostałe dania główne były mięsne: pieczeń cielęca, bigos, ozorek, gulasz wołowy. Może trochę za wysokie dla Kowalskiego są ceny obiadów popularnych w „Słoniu", na 7 obiadów tylko ten ze śledziem marynowanym kosztował 8.60 zł. Pozostałe przekraczały 11 zł, a dwa sięgały 13 zł.

Korzystniejsze byłyby dla Kowalskiego ceny obiadów popularnych w „Obywatelskiej", gdzie cena żadnego z tych obiadów nie przekracza 9 zł, ale mięsa mógłby się tam tylko nawąchać od zamożniejszych sąsiadów, bo jedynym daniem mięsnym popularniaków była kiełbasa przygotowana trzy razy w tygodniu. Jeszcze korzystniej zjadłby Kowalski w barze „Przemysłowy", chociaż i tam otrzymałby trzy razy kotlet mielony. Pięć razy w tygodniu jadłby jednak mięsiwo i nigdy nie zapłacił więcej niż 9 zł. Mógłby tam np. zjeść za 7 zł zupę szczawiową i kotlet mielony z ziemniakami z tłuszczem.

Suma summarum Kowalski nie może się zachwycać rozmaitością obiadów popularnych, ich obfitością ani też zawartością kalorii, a kierownicy wielu zakładów gastronomicznych dziwią się, że Kowalski tak rzadko je zamawia.

KARMAZYN I WÓDKA

Ci zdziwieni kierownicy nie zdają sobie chyba sprawy z tego, że mały popyt na obiady popularne jest najlepszym miernikiem ich jakości. Zakład, który dba o rozmaitość obiadów popularnych, nie może narzekać na mały popyt. Np. w „Tivoli", gdzie żadne danie tych obiadów nie powtarza się w ciągu tygodnia i gdzie prawie codziennie ich drugie danie jest mięsne a cena stała — 10 zł, sprzedaje się dzień w dzień od 100 do 120 takich obiadów.

Co prawda pan Olechnowicz, kierownik „Tivoli" wprowadził obiady dziesięciozłotowe bynajmniej nie w celu ratowania budżetu Kowalskiego. Uważa on, że obiady te są przeznaczone przede wszystkim dla tych, którzy nie chcą wracać do domu z pracy zbyt wygłodniali, ale po powrocie do domu wcale nie rezygnują z drugiego, tzn. „domowego" obiadu, przyrządzonego przez żonę, matkę lub teściową.

Ta fachowa ocena obfitości i kaloryczności obiadów

popularnych tym bardziej skłania do refleksji nad losami Kowalskiego, który po zjedzeniu popularniaka nie zje już żadnego „domowego" obiadu. Kowalski musi przecież rezygnować często z popularnej taniochy i szukać w jadłospisie dania, które maksymalnie zaspokoi jego głód i minimalnie uszczupli jego budżet. Zdarza się wszelako, iż jedyne tańsze dania są daniami wyjętymi z zestawów obiadów popularnych. Np. jeżeli obiad popularny składa się z żurku ze śmietaną i klusek półfrancuskich z sosem węgierskim, to już jednym z dań tańszych będą kluski półfrancuskie. Podobnie będzie z kaszanką podsmażaną, kaszą gryczaną itd. itp.

Oczywiście w jadłospisie znajdzie się jeszcze szereg innych dań, ale ich ceny będą już stanowiły barierę finansową, której Kowalski nie może przekroczyć. Np. befsztyk siekany z marchewką, groszkiem i ziemniakami będzie kosztował 9,50 zł, żeberka wieprzowe z kapustą i ziemniakami — 9 zł, ozorek z sosem chrzanowym i ziemniakami — 9 zł. Jeżeli do któregoś z tych dań dobierze Kowalski zupę, np. owocową z kluskami za 3,50 zł, to już musi się liczyć z tym, że nie będzie mógł sobie pozwolić w tym dniu na bilet do kina czy kufel piwa, bo mu nie wystarczy nawet na skarpetki, a nie może przecież chodzić nago. W takich barach jak „Zrazik" czy „Koliber" bardzo często nie mógłby Kowalski zjeść obiadu nawet za swoje żelazne 13 zł.

Kowalski wierzy jednak w to, że kierownicy zakładów gastronomicznych, chociaż są handlowcami, starają się udogodnić mu życie. Znajduje dowody troski kierowników o obiady dla niego. Smuci go tylko fakt, że ceny tych obiadów w wielu restauracjach sięgają tych nieszczęsnych 13 zł, a radby sobie kupić prócz ubrania to i owo.

Kowalski nie wie prawdopodobnie o tym, że niskie ceny obiadów są niekiedy powodem nieprzyjemności, jakich doznają kierownicy zakładów. Wskaźnik sprzedaży produkcji do sprzedaży alkoholu nie podoba się bowiem przy tanich obiadach przełożonym kierowników. Tak więc alkohol jest wrogiem Kowalskiego nawet wtedy, kiedy Kowalski go nie wącha, nie mówiąc już o piciu.

Kowalski nie wie też być może o tym, że kierownicy poca się solidnie przy ustalaniu cen na obiady poniedziałkowe, kiedy to na talerze wkraczają ryby. Od pewnego czasu nie ma dorsza, którego zastąpił karmazyn dostojny w cenie. Porcja samego karmazyna kosztuje 8 zł, a do niej dochodzą jeszcze dodatki. Zatem w poniedziałki wrogiem interesów Kowalskiego jest nawet śniety karmazyn.

DIETA CUD

Kowalski może jeszcze jakoś wytrzymać, gdy zdrowie mu dopisuje. Może sobie wtedy umilić życie fantazją. Np. je makaron z sosem mięsnym i wyobraża sobie, że jest w słonecznej Italii i delektuje się smakiem spagetti. Kowalski ma wszakże prawo do choroby. Może więc zachorować na cukrzycę, może mieć nadkwasotę, może mieć chore nerki czy wątrobę. Kowalski nie może wtedy pałaszować pierwszego lepszego obiadu. Pomyślano jednak i o chorym Kowalskim. Są przecież w Łodzi jadłodajnie dietetyczne. Wzruszający to dowód troski o człowieka, prawda? Okazuje się, że Kowalski znowu nie wyraża zachwytu. Powiada, że o ten dowód troski rozbił kiedyś swój budżet, wobec czego zrezygnował z obiadów dietetycznych i cierpi teraz często z powodu wątroby. Smutne to, ale czy prawdziwe? Sprawdźmy w jadłospisach „Romy".

Oto ceny obiadów diety wątrobowej z kilku kolejnych dni: sobota — 13.40 zł bez deseru, 15,15 zł z deserem; niedziela — 18,15 zł bez deseru, 20,60 z deserem; poniedziałek — 10,20 zł bez deseru, 11,90 zł z deserem; wtorek — 18,85 zł bez deseru, 20,30 zł z deserem; środa — 12,50 zł bez deseru, 14,45 z deserem... Dość. Miał rację Kowalski. Takie obiady mogły rozbić jego budżet w perzynę. Ceny obiadów diet: cukrzycowej, stawowej i nadkwasotowej utrzymują się mniej więcej na tej samej wysokości. Gdyby więc chory Kowalski chciał mieć pewność, że obiad mu nie zaszkodzi, musiałby przeznaczyć na same obiady dietetyczne blisko połowę swoich zarobków. Byłaby to prawdziwa dieta cud, ale Kowalski nie wierzy w cuda i woli ryzykować zdrowiem niż chudą kieszenią.

CZEGO ON CHCE?

Kowalski wie, że nie może opychać się schabem do nieprzytomności jak Eskimos mięsem renifera na uczcie weselnej. Kowalski lubi jednak mięso, chociaż z tego powodu popadł już w coś w rodzaju małego kompleksu. No bo słyszy często, że Polacy są wprost nieprzyzwoicie mięsożerni, że inne narody delektują się potrawami jarskimi, co im wychodzi podobno zdecydowanie na zdrowie. Wstydzi się niejednokrotnie przyznać do tego, że nie może zaspokoić głodu obiadami jarskimi. Ale czy to wina Kowalskiego, że po jarskim obiedzie czuje ssanie w żołądku? Czy winy nie należałoby szukać raczej w recepturach restauracyjnych?

Kowalski odwiedza od czasu do czasu matkę, która częstuje go zwykle jakimś obiadem własnej produkcji. Zje u matki np. kapustę czy mizerie z ziemniakami bez śladu mięsa i naje się do rozpuku. Poza tym obiad taki będzie o niebo smaczniejszy i znacznie tańszy, jak zapewnia matka, od obiadu restauracyjnego. Wszyscy chyba przyznamy, że obiady „domowe" różnią się z reguły zasadniczo od obiadów restauracyjnych. W niektórych zakładach żywienia zbiorowego można zjeść takie „domowe" danie. Np. w „Bankowym" jest pyszny bigos, a w „Artystycznej" żurek na wędlinie z ziemniakami podanymi oddzielnie. Takimi daniami można się najeść.

Jeżeli już naprawdę nie można „udomowić" obiadów we wszystkich restauracjach, to należałoby bardziej urozmaicić obiady popularne i może zasilić je np. połówką kotleta siekanego czy nawet schabowego. W niektórych restauracjach są już takie połówkowe porcje flaków i golonek. W większości zakładów flaki sprzedawane są jednak wyłącznie dużymi porcjami. Kowalskiego nie stać na duże flaki, ale gdyby zjadł małe i mizerie z ziemniakami, to na pewno byłby bardziej syty niż po szczawiowej z grzankami i tejże mizerii.

Kowalski zazdrości kolegom, którzy pracują w fabrykach lub instytucjach posiadających własne stołówki. Obfite, mięsne obiady jedzą tam za sześć lub siedem złotych. W instytucji Kowalskiego nie ma stołówki, więc musi wydawać na obiady znacznie więcej od kolegów i nie najada się tak jak oni. Dlaczego o jakichś takich obiadach dla Kowalskiego nie pomyśli kierownik socjalny czy ktoś z rady zakładowej jego instytucji? Jeżeli nawet nie ma tam stołówki, to może jakieś porozumienie z restauracją, poparte odpowiednim funduszem socjalnym ułatwiłoby Kowalskiemu życie? Czy wyłącznie instytucje kolegów Kowalskiego mają prawo dofinansowywania obiadów swoich pracowników? Kowalskiemu nikt dotychczas nie zaproponował czegoś podobnego.

Kowalski żywi się ostatnio w barach samoobsługowych. Sądził, że obiady będą tam o

te kilkadziesiąt groszy czy nawet złotówkę tańsze, bo bar samoobsługowy nie zatrudnia kelnerów. Nic podobnego. O cenach obiadów w barze samoobsługowym decyduje kategoria baru. Kowalski ma wrażenie, że płaci w tych barach i za to, iż się sam obsługuje. Może zbyt egoistycznie myśli on o tych sprawach. Czego ten Kowalski właściwie chce? Chce zjeść dobrze i tanio. To wszystko.

SŁAWOMIR FABJAŃCZYK

JANUSZ SKOWROŃSKI

„RYCERSKI" WEHRMACHT *zdobywa* ZGIERZ

Leży przed nami zachodnioniemiecki miesięcznik „Nation Europa" z maja. Jak na ironię wydany w miesiącu zakończenia wojny. Czy naprawdę na ironię? A może właśnie rocznica rozgromienia III Rzeszy stała się okazją do komentarzy mających „niezbicie" wykazać, że za wybuch II wojny światowej ponoszą odpowiedzialność wszyscy, prócz hitlerowskich Niemiec? Taki jest ogólny kierunek znacznej większości zachodnioniemieckich gazet i periodyków. Sfery opiniotwórcze w NRF znane są ze swoich prohitlerowskich sympatii. Tylko nieliczni przyznają nieśmiało, że niektóre formacje SS w ferworze walki przekraczały czasem granicę, ale Wehrmacht, który stanowił trzon armii był bez zarzutu, więcej — był wręcz rycerski. A wojnę sprowokowali Polacy.

Nie bądźmy jednak gołosłowni.

W artykule „Wojna w Polsce" publicysta miesięcznika „Nation Europa" stwierdza:... **„Wszyscy obiektywni obserwatorzy w świecie zdawali sobie sprawę w roku 1939, że pogwałcenie naturalnych granic Niemiec na wschodzie stanowiło permanentną przyczynę wojny. W zamian za nadzieję pozyskania Polski dla krucjaty przeciwko Związkowi Radzieckiemu Hitler był gotów zrezygnować z granicznych postanowień Traktatu Wersalskiego. Propozycje Hitlera były następujące: przyłączenie Gdańska do Niemiec w zamian za zabezpieczenie wszystkich gospodarczych interesów Polski na tym obszarze i to zabezpieczenie w sposób bardzo wspaniałomyślny. Następnie połączenie Niemiec z ich wschodnią prowincją, Prusami Wschodnimi przy pomocy eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej. Polityka polska od roku 1918, a ze szczególną agresywnością od początku roku 1939 była tak prowokacyjna wobec ludności niemieckiej zamieszkałej w Polsce, a także w całokształcie wobec Niemiec, że nie trzeba było żadnego tego rodzaju spektaklu, jak napaść na radiostację, ażeby dowieść konieczności obrony przeciwko coraz bardziej agresywnym wykroczeniom polskim".**

Dalej jest jeszcze mowa o „bestialskich morderstwach" dokonanych przez Polaków na Niemcach zamieszkałych w Bydgoszczy. Całość sprowadza się do stwierdzenia, że to Polska rozmyślnie sprowokowała wojnę i ponosi za to odpowiedzialność.

Nie zamierzamy polemizować z nieznanym publicystą „Nation Europa". Nie wystę pujemy anonimowo i nie kryjemy się pod pseudonimami. Wypowiedź naszą ilustrujemy zdjęciami, wykonanymi przez „rycerzy Wehrmachtu", podajemy fakty, daty, nazwiska. Miejscem opisanej przez nas akcji jest Zgierz k. Łodzi. Czas — wrzesień 1939 rok.

Jest to oczywiście miniaturowy wycinek całości oddający jednak wiernie atmosferę wojny w Polsce. Wszędzie było podobnie...

Materiały i zdjęcia (nigdzie dotychczas nie publikowane), które wykorzystaliśmy pochodzą z archiwum Jerzego Wieczorka, znanego plastyka łódzkiego, w czasie okupacji członka Tajnego Harcerstwa i Armii Krajowej — pseudonim „Bohdan". Dzięki niemu udało nam się odtworzyć dokładnie przebieg wrześniowych wydarzeń w Zgierzu. Podkreślamy — jest to skromny fragment, ale wystarczająco wymowny, by dać odpowiedź wszystkim „obiektywnym" publikacjom w rodzaju „Nation Europa", którą cytujemy na wstępie. Oddajmy głos faktom.

* * *

Piąty dzień wojny. Od strony Konstantynowa nacierają Niemcy. Przez zbombardowany Zgierz przechodzą grupki żołnierzy polskich. Druh Stefan Dutka z garstką żołnierzy-rozbitków organizuje opór. Dzielny skaut — zwiadowca z Pogotowia Wojennego Harcerzy do końca nie schodzi z posterunku. Żołnierze zajmują stanowiska obronne. Płoty, sienie domów, rowy i słupy reklamowe stają się punktami oporu.

Następnego dnia o godz. 11 Niemcy zdobywają Zgierz. Ginie raniony śmiertelnie druh Dutka. Żołdacy Wehrmachtu (przez cały czas piszemy tylko o Wehrmachcie) masakrują jego głowę kolbami karabinów. Gdy wreszcie pozostawili już dawno nieżyjącego harcerza w spokoju, kobiety — staruszki, które nie opuściły miasta owinęły tkaniną głowę poległego. Z twarzy pozostała jedynie krwawa miazga.

„Na terenie Zgierza stwierdzono szereg wypadków dobijania przez Wehrmacht rannych żołnierzy polskich. Świadkami były kobiety — Polki pracujące w Pogotowiu Ratunkowym i niezorganizowane, a pomagające przy udzielaniu pomocy leżej rannym. M. in. przebierały ich w ubrania cywilne wiedząc, że tylko to może im uratować życie".

z notatek **J. Wieczorka**

W potyczkach zgierskich, bez planowej obrony ze strony Wojska Polskiego zginęło prawie czterokrotnie więcej Niemców niż Polaków. Przy czym należy podkreślić, że znaczny procent zabitych żołnierzy polskich to skrupulatnie dobijani ranni. Nie darowano życia nikomu. Każdego rannego żołnierza, który wpadł w ręce Niemców spotykał ten sam los — strzał w tył głowy lub między oczy. Samochody DRK (Deutsche Rotter Kreutz) zabierały tylko swoich rannych na tyły.

Zdobyte miasto — wtedy zgierzanom wydawało się, że już gorzej zniszczone być nie może — plądrują Niemcy. Chodzą po sieniach i podwórkach. Zasadniczy cel — znaleźć i zabić jak najwięcej żołnierzy polskich.

Podczas obrony zginęło 27 żołnierzy i 1 oficer W. P. oraz 40 osób cywilnych, w tym jeden duchowny, (praw dopodobnie z klasztoru w Łagiewnikach).

Na drugi dzień, **w 24 godziny po zdobyciu miasta,** kilku ciężko rannych żołnierzy, którym udało się chwilowo ukryć dobił zwycięski Wehrmacht.

Zamiast odnośnych paragrafów Prawa Międzynarodowego podajemy nazwiska pomordowanych:

1) porucznik WP Marian Fersz ur. 22. X. 1914 r we Lwowie,

2) porucznik WP Aleksander Ludwik Bacz, ur w 1906 roku,

3) żołnierz WP Kamionka ur. w 1912 r.

4) żołnierz WP Józef Ptak ur. w 1912 r. zam. w Warszawie,

5) żołnierz WP Stefan Kuch, zam. w Radzyminie,

6) żołnierz WP Henryk Miksa, ur. 3. VI. 1920 r.,

7) żołnierz WP Henryk Kosiorek (28 p. p.), zam. w Kielcach.

Świadkowie morderstwa — kobiety i dzieci, żyją jeszcze i mieszkają w Zgierzu. Na wiadomość o zajęciu miasta przez Niemców i ich ohydnych poczynaniach kilka osób popełniło samobójstwo, są to:

1) Dr med. Kalgrad (lekarz szkolny Gimn. i Liceum im. St. Staszica),

2) matka dr Kalgrada,

3) Jerzy de Makay,

4) Zdzisław de Makay,

5) Aniela de Makay z Siemiańskich.

Szósty bezimienny samobójca z Warty (koszula i spodnie wojskowe) odebrał sobie życie przez powieszenie. Na cmentarzu Rz.-Katolickim w Zgierzu spoczywa w mogiłach zbiorowych 120 osób; 44 żołnierzy WP, 4 podoficerów, 5 oficerów WP oraz 67 cywilów.

Cyfry te nie obejmują grobów pojedyńczych ani rannych zmarłych w miesiącach późniejszych. Nie obejmują również pochowanych na innych cmentarzach (mariawicki, „kierchol", cmentarz w Łagiewnikach, Krzywiu i innych).

* * *

Rannych dobijano wyszukanymi metodami. Jęki mordowanych zagłuszają strzały i okrzyki oprawców „Sieg Heil"! Nie ma na to słów oburzenia. Nie trzeba obrazowych opisów. Krótka lapidarna notatka kronikarza — naocznego świadka jest wymowniejsza niż najbardziej oficjalne protesty i wyrazy potępienia:

„Nieznany żołnierz WP, ciężko ranny. Rzucono go na ulicę i przejechano czołgiem (dn. 6. IX. 1939 r.) ul. Konstantynowska. Rannego leżącego pod drzewem (obok rannego biała chustka) dobito strzelając między oczy".

z notatek **J. Wieczorka**

Odbieranie kosztowności żołnierzom WP, bezczeszczenie zwłok poległych i dobitych, grabież mienia osobistego to fakty. Takim zapisał się w pamięci zgierzan (i nie tylko zgierzan) „rycerski" Wehrmacht. Całości makabrycznej prawdy dopełniają gwałty i morderstwa popełnione na osobach cywilnych.

Większość zbrodni dokonano **już po zdobyciu Zgierza i okolicy, po zakończeniu działań wojennych.** Siewcy kultury spod znaku swastyki rozpoczęli swoje rządy od mordowania jeńców wojennych, gwałtów i grabieży. Szczególnie upodobali sobie odcinek szosy państwowej na trasie Zgierz — Piątek. Tam, w lesie dąbrowskim (3 km na północ od Zgierza), w miejscu gdzie kończy się las, dokładnie pod mostem szosy rozstrzelali 8-osobową grupę Polaków. Wśród nich kobietę z małym dzieckiem. Oto nazwiska, które zdołano ustalić:

Jan Sobieski — krawiec, dwóch inkasentów elektrowni zgierskiej — Różniata i Szwarc, Marcin (nazwisko nieczytelne) — piekarz. Wszyscy ze Zgierza.

Następnych 10 niewinnych osób rozstrzelano w tym samym lesie w lewym rowie przydrożnym (100 m od szosy Zgierz — Piątek — nieopodal strzelnicy).

Dalszych 18 Polaków rozstrzelano pojedyńczo w różnych miejscach lasu dąbrowskiego.

12. IX. 1939 r. rozstrzelano Tadeusza Haremblarza, zam. w Suliszewie, ur. 17. VIII. 1922 r.

21. IX. 1939 r. rozstrzelano Antoninę Klimas, lat 26, córkę Franciszka, zam. w Kątach, gm. Wydrzyna, pow. Wieluń.

19. IX. 1939 r. zostali rozstrzelani przez Wehrmacht:

1) Krochocki (imię nieczytelne),

2) bezimienny młodzieniec lat ok. 17 — uczeń (leżał skurczony ręce koło twarzy),

3) bezimienny mężczyzna lat ok. 40,

4) bezimienna kobieta lat ok. 40 (kobieta miała rozerwaną sukienkę, zerwany biustonosz, trzymał się na jednym ramiączku, leżał obok rozstrzelonej, włosy potargane, blond, krew w ustach.

Przypominamy — działania wojenne w Zgierzu zakończono 6 września 1939 r.

Kilkanaście kilometrów dalej trwają jeszcze ostatnie w tym rejonie walki. Wycofują się wojska gen. Kutrzeby. W Zgierzu i najbliższej okolicy spokój. Ale co to szkodzi „zabawić się" z pokonanymi? A więc „bawi się" „rycerski" Wehrmacht. Na drodze wieś. Gdy by bestie w mundurach Wehrmachtu znały poezję polską możeby który wspomniał „wsi spokojna, wsi wesoła"! Ale nie poezja im teraz w głowie. Przed kilku laty sami palili na stosach dzieła Heinego... Dziś dla nich święto. Victoria! Heil! Bawmy się!

Na drodze dom gospodarza Pabiana. O, ten będzie w sam raz. Pędzą przed sobą trzynastu więźniów. Okładają kolbami, kopią. Każą wejść do wnętrza domu. Wśród nieszczęśliwych wyróżnia się sutanną ksiądz Lipiński, reszta, których nazwiska ustalono, to ojciec i syn Królikowscy, Grabielski i Słowiński — wszyscy z Białej. Przerażeni mężczyźni stłoczeni w wiejskiej izbie patrzą, co będzie dalej. Jeden z nich wybucha histerycznym płaczem. Ksiądz Lipiński uspokaja, próbuje opanować sytuację. A może się uda... Huk granatów zlewa się z jękiem umierających. Budynek płonie. Kilku lżej rannych wyskakuje przez okna. Kule z pistoletów „rycerzy" kładą kres ich życiu. Drgające jeszcze ciała ogarniają płomienie... Samotne, skromne mogiły do dziś przypominają tragedię ludzi, którym wydawało się, że już przeżyli wojnę.

Równolegle z „zabawą" zwycięzcy zatroszczyli się o porządek. Porządek, wielka rzecz! „Ordnung muss sein"! Mają szukać u Polaków narzędzi zbrodni więc szukają, a przy okazji... Okazji nadarzyło się wiele. Uciekinierzy, cywile wracali do swoich domów. Po drodze byli poddawani licznym rewizjom. Ci, u których znaleziono brzytwę lub nóż (w mniemaniu żołnierzy Wehrmachtu narzędzia te mogły służyć tylko do zabijania Niemców), byli z miejsca rozstrzeliwani.

W Łyżkowicach pod Łowiczem rozstrzelano kilkadziesiąt osób m. in. Ludwika Szymczaka, drużynowego drużyny im. Stefana Czarnieckiego i pracownika elektrowni w Zgierzu — Geizlera. Syn zabitego, siedemnastoletni wówczas chłopak, uniknął śmierci. Szczęśliwie ominęła go kula. Do nocy przeleżał wśród trupów. Obecnie mieszka w Zgierzu.

Starsi zgierzanie pamiętają jak „rycersko" postępował Wehrmacht wobec jeńców zgromadzonych w obozach przejściowych, tzw. Durchgangslager (Szkoła

Dalszy ciąg na str. 7

KREDKA

Zielona kredka jak żabka skacze
Po Wojtusiowym zeszycie,
A co podskoczy wyrasta krzaczek
I szumi trawa — słyszycie?

Teraz maluje na skwerze klony
I wierzbie splata warkocze,
Ubrała żuczka w płaszczyk zielony
A on z radości świergocze...

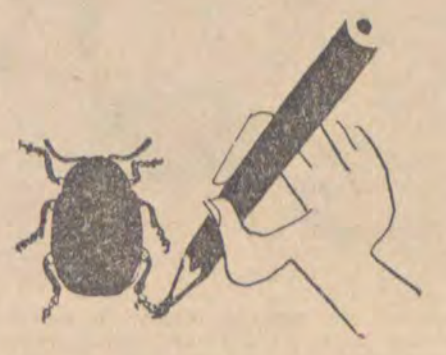

SKARŻYPYTA

Proszę pani — wczoraj w nocy
Janek w gwiazdy strzelał z procy;

Proszę pani — Grześ na plaży
Z piasku sobie omlet smaży;

Proszę pani — Paulinka
Na prosiaka mówi — „świnka";

Proszę pani — Zosia z Adą —
Mówią, że na księżyc jadą;

Proszę pani — Staś zdjął kapce,
Krzyś pokazał język żabce;

A Zdzich stanął na kurniku
I zawołał: kukuryku!

Proszę pani — a z tej Zyty
To jest kawał skarżypyty,

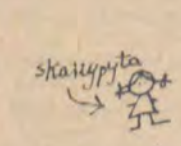

Skarży na mnie już od ranka
I to ma być koleżanka!

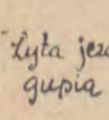

Proszę pani!... proszę pani!...
Niech ją pani za to zgani!...

HONORATA CHRÓŚCIELEWSKA

Pomnik Jana Kochanowskiego w Zwoleniu (odsłonięty w 1961 roku)

MARIAN PIECHAL

WYPRAWA do CZARNOLESIA

No więc odwiedziliśmy wreszcie te osławione przez wieki okolice — mówiąc językiem dzisiejszego pokolenia — naszego najstarszego kolegi, Jana Kochanowskiego Odwiedziliśmy, to znaczy w rozbiciu pluralisu na singulary: Jan Koprowski, Wacław Mrozowski i piszący niniejsze słowa, wszyscy trzej parający się rymami, a więc co ipso najmłodsi, choć już nie z tych najmłodszych, koledzy po parnaskim rzemiośle mistrza Jana.

Ba! co ja mówię: „mistrza"? Mistrzów po nim w Polsce było wielu i to wcale nie najgorszych, ale on był pierwszy i jedyny, odkrywca, prawodawca, Jan Chrzciciel poezji naszej, prekursor wszystkich późniejszych jej form i możliwości. Kolumb i zarazem Kopernik w jednej osobie, scalający wszystkie istniejące dialekty i odmiany dzielnicowe mowy ojczystej w jeden nowoczesny język artystyczny. A więc mistrz nad mistrze — arcymistrz!

Czyż tedy arcymistrza, i to takiego, godzi się nazywać „kolegą"? Ach, koledzy moi mili po piórze, my nie koledzy, my zaledwie czeladnicy jego nieudolni, i to dość (aż może zadość!) zaszczytu dla nas w tej cechowej, czcigodnie starodawnej, nazwie! On sam na swoje czasy był najszerzej i najistotniej awangardowy i supernowoczesny. Zarówno w głąb wieków jak i po całym ówczesnym świecie kulturalnym jeździł i podróżował w poszukiwaniu najwłaściwszych form i taktów przyszłej poezji naszej. I znalazł je w starożytnej Grecji i w Rzymie, i w jeszcze starożytniejszych psalmach Dawida, i we współczesnej sobie Italii, i we Francji. I czyż był tylko biegłym naśladowcą i zręcznym kompilatorem obcych miar i wzorów? Wziął z nich tylko pierwszy impuls, iskrę, zaczyn, ale stworzył samorodnie własne polskie formy, olśniewająco nowe, uczyniwszy z surowego dotychczas i nieobrobionego jeszcze tworzywa językowego narzędzie giętkie, sprawne i posłuszne jego wysokiemu natchnieniu.

Próba, której dokonał mistrz z Czarnolasu nad mową polską, to fenomen graniczący z cudem! Jak Minerwa z głowy Jowisza tak poezja polska z głowy Jana Kochanowskiego wyskoczyła nagle doskonała wraz z całą różnorodnością swych form, i tonów, i odcieni. Był poetą epicznym, lirycznym, satyrykiem, fraszkopisem, dramaturgiem, prozaikiem i tłumaczem w stopniu od razu doskonałym w każdej z tych trudnych i nowych na gruncie naszej literatury form. Porównywano go ze współczesnym mu Petrarką we Włoszech, i z Ronsardem we Francji, on sam podziwiał ich i uważał za swoich mistrzów, ale jak stwierdzają znawcy przedmiotu, specs od komparatystyki, Jan Kochanowski przerósł ich niepomiernie, stworzywszy w języku polskim rzecz dotąd bez precedensu, rzecz absolutnie nową: prawdziwą poezję! Poezję miary najwyższej, to znaczy na wzór myśli i wyobraźni europejskiej! Jego twórczość wyprowadziła naszą literaturę z ciasnych oplotków rejowskiej swojszczyzny prowincjonalnej i nadała jej ten uniwersalny. Zaiste, za jednym podrywem skrzydeł swego geniuszu wdarł się od razu — jak sam powiada — „na skałę pięknej Kaliopy, gdzie dotychmiar nie było śladu polskiej stopy". Jego poezja to dotąd jeszcze ożywcza krew naszej literatury pięknej, to miód i żywica naszej kultury humanistycznej.

Takie mniej więcej myśli i refleksje towarzyszyły naszej wyprawie do Czarnolesia. Poranek był piękny i droga była piękna, wiodąca przez Spałę, Inowłódz, okraj puszczy pilickiej koło Studzianny i Odrzywoła, a koniecznie przez Przytyk, skąd pochodziła żona Kochanowskiego, tak wielce zasłużona dla jego poezji Dorota Podlodowska, a którą on w wierszach nazywał na cześć imienia swej matki, Hanną. Zatrzymaliśmy się w tym Przytyku, szukając domniemanego miejsca dawnego dworu Podlodowskich, rodu przed czterema wiekami z okładem dość znacznego i zacnego. Niestety, istnieją ślady przedwojennego parku dworskiego, ale czy na miejscu tamtego? Nikt tego nie zbadał i już chyba nigdy nie zbada.

Od Przytyku począwszy ulegamy złudzeniu, że każdy lasek, każdą łączkę i każdy strumień, które mijaliśmy, musiał oglądać także Kochanowski, zapewne niejednokrotnie jadący tędy do i od swej pięknej i rozsądnej, przypadłej mu do serca Doroty. Nie ma śladów jego tutaj obecności, ale jest poczucie jego niegdyś tutaj żywej egzystencji. Otaczający nas krajobraz nie jest zapewne ten sam, na którym niegdyś spoczywał wzrok Kochanowskiego, ale strumień jest ten sam i odbite w nim niebo jest to samo, i w nich właśnie oczy Kochanowskiego sprzed wieków spotykają się nieledwie z oczami naszymi. I mimo widomej przemijalności ludzi, drzew, traw i wszystkich materialnych rzeczy świata tego, rzeczywistość myśli wzajem o sobie poprzez wieki trwa i jest realna.

Czarnolas dzisiejszy to jako krajobraz ani szczególna krasa, ani urok. Czar tylko jakiś, mimowolnie odczuwany, spowija tę wioskę niepozorną i szarą, ten nowy dworek, więcej, niż skromny, w tym raczej skwerku zielonym, niż parku, głośnym ze słynnej od przeszło czterech wieków poetycznej lipy. Tej lipy już nie było, kiedy Czarnolas odwiedził w końcu XVIII wieku, a więc po dwóch wiekach od śmierci Kochanowskiego, biskup warmiński, książę poetów, Ignacy Krasicki, ale był jeszcze stary dworek, którego ściany słyszały dziecięcy szczebiot „wdzięcznej Orszuli". Dziś i tego dworku już nie ma. Na jego miejscu stoi zbudowana przed wiekiem kaplica, a obok inny dworek z pokutującą w nim pamięcią Jabłonowskich i Lubomirskich, zamieniony w ostatnich latach na skromniutkie — Boże się pożal! — muzeum pamiątek po Kochanowskim.

Te pamiątki to właściwie „lipa". Nic realnego. Same imitacje, reprodukcje, przepisane teksty i cytaty. Trochę miejscowego folkloru i starowiekowych tkanin. Są drzwi z kutego żelaza od lamusa dworskiego, ale czy aby na pewno z czasów Kochanowskiego? Jedyna pewna pamiątka, poza samym miejscem, to narzutowy głaz, wielkości sarkofagu, gładki i wypolerowany przez wieki, na którym podobno mógł siadywać Kochanowski, bo znajduje się tuż zaraz obok miejsca, gdzie rosła owa sławna lipa.

Usiedliśmy także i my na tym głazie i rozejrzeliśmy się wokoło. Przed nami za drzewami wąziutki strumyk, a za nim łączka dość rozległa, zapewne ta sama, co i za czasów Jana. Ale z drugiej strony mały stawek, raczej płytka, zabagniona sadzawka, pełna rojących się kijanek, a za nią sadek owocowy. Za sadkiem pola obsiane zbożem. To już chyba nic nie ma wspólnego z czasami Kochanowskiego, kiedy ówczesna ciemna Puszcza Kozienicka bezpośrednio wchodziła w park dworski — stąd jego nazwanie Czarnolas.

Ale ja nad tym niepozornym stawkiem odkryłem drugą realną pamiątkę po Kochanowskim. Dąb, Wysoki, potężny, rozrosły, z pniem o średnicy przeszło metrowej. A więc mający około 500 lub 600 lat. Kiedy żył Kochanowski miał lat sto lub dwieście. Był więc już stosunkowo dużym drzewem. Na nim zapewne spoczywał nieraz wzrok Kochanowskiego. I on jedyny spośród wszystkich drzew w Czarnolesiu przetrwał do dziś. Przetrwał w rzeczywistości, a nie w poezji Kochanowskiego, choć jest niejako symbolem tej poezji. Jej mocy i trwałości. On właśnie, dąb skromny i nieznany, a nie tak rozsławiona i wbita przez Kochanowskiego w pychę lipa. Gdzie jak gdzie, ale w tym dębie najrealniej mieszka pamięć mistrza czarnoleskiego.

Przebywał tu tylko ostatnie niecałe dziesięć lat życia. A ileż i co przeżył i napisał? Człowiek jak na ówczesne czasy już niemłody, bo 45-letni, po zawodach służby dworskiej i urzędniczo-królewskiej, zamyka się tutaj dosłownie jak w pustelni, syt szerokiego świata, przeżywa największą miłość swego życia, szczęście narodzin siedmiorga swych dzieci, boleść przedwczesnej śmierci dwóch córek, trud codziennego bytowania w otoczeniu rodzinnym i dobrosąsiedzkim. Na marginesie tego intensywnego życia domowego i obywatelskiego (był bowiem plebanem w pobliskim Zwoleniu i posłem na sejm w Lublinie), jeszcze intensywniej tworzył. W Czarnolesiu napisał najlepsze swe dzieła. Prócz licznych elegii i fraszek, słyn-

Nagrobek Jana Kochanowskiego z około 1610 roku w kościele parafialnym.

ZOFIA LORENTZ

SZPITAL POLOWY

Od razu w pierwszych dniach wojny dotychczasowe pojęcie frontu jako linii geometrycznej, oznaczającej działania wojenne, okazało się fikcją. Za faktyczny front uznać wypadało właściwie każde miasto w Polsce, każdą wieś a nawet każdą ścieżkę polną. Sądziło się jednak, że najbardziej nawet brutalny najeźdźca uszanuje międzynarodową zasadę exterytorialności Czerwonego Krzyża. Toteż gdy padły pierwsze bomby na teren Szpitala Ujazdowskiego, nasze dowództwo, uważając ten fakt za pomyłkę pilota, wydało zarządzenie (które okazało się zarządzeniem katastrofalnym) umieszczania na dachach szpitali wielkich białych płócien ze znakiem Czerwonego Krzyża w środku, dla łatwiejszego rozpoznania z góry obiektów szpitalnych. Zrobiono to w przeświadczeniu, że piloci bombardujący miasto oszczędzą szpitale.

Niemcy wykorzystali to naiwne zarządzenie: rozpoczęli systematyczne burzenie względnie podpalanie wskazanych sobie budynków i piękne warszawskie szpitale, wielopiętrowe, wielookienne, rozbudowane w liczne pawilony, stały się nagle najbardziej zagrożonymi punktami miasta.

Wtedy to, również na zlecenie Dowództwa Obrony Warszawy, powstawać poczęły w różnych punktach miasta małe szpitaliki polowe, które organizowano w niepozornych uliczkach, w budynkach ukrytych w głębi przepaścistych podwórzy. Lokale te, rzecz prosta, nie były dostosowane do tego rodzaju użytku, toteż nowostworzone szpitaliki, mimo najgorliwszych starań cywilnych organizatorów, przedstawiały żałosny widok, a często przeczyły najprostszym wymaganiom higieny.

Nie wiem, czy Szpital Polowy nr 4 mieszczący się w lokalu drugorzędnej łaźni publicznej przy ulicy Skorupki 12, był najgorszym z nich. Nie miałam jednak już wtedy żadnych wątpliwości, że dostałam się tam w charakterze siostry miłosierdzia tylko dlatego, że zawodowych kadr pielęgniarskich brakło od razu do normalnych szpitali, a cóż dopiero mówić o tego rodzaju szpitalikach „spod ciemnej gwiazdy". Ulica Skorupki (niegdyś i obecnie — Sadowa), odgrodzona od Marszałkowskiej solidną, podminowaną nawet, barykadą, okazała się punktem dobrze wybranym. Była zacisznym zaułkiem, nie zwracającym na siebie uwagi. Czystym nonsensem natomiast był charakter wybranego lokalu. Nonsensem i przekleństwem.

Łaźnia! A więc wąski korytarz o dużej ilości drzwi do niewielkich kabin. W kabinach — wmontowane na mur w podłogę — wanny. Ciasnota. Niemożność czuwania nad całością. Wieczna latanina z kabiny do kabiny. Przetwieranie się. Ustawiczny zamęt. Ani noszy z rannymi swobodnie obrócić, ani gdzie łóżek ustawić, ani dogodnego dostępu do leżących — po prostu rozpacz! Nie wiele pomogło wystawienie wszystkich drzwi. Rozwiązałoby sprawę wymontowanie wanien, ale to wymagało specjalistów i odpowiednich narzędzi, których nie było.

Klęli więc te wanny wszyscy: ranni, lekarze, sanitariusze. Ale przede wszystkim klęłyśmy je my — siostry. Szczególnie od chwili zbombardowania stacji wodociągów, w konsekwencji czego całe miasto pozostało pozbawione wody; te nieszczęsne wanny tkwiły wśród nas jak gdyby na urągowisko. Były jednak naszą udręką tylko do momentu, kiedy zaczęto przynosić nam... dzieci. Tak, dla dzieci — okazały się czymś w sam raz...

W całym szpitalu nie było już nie tylko ani jednego wolnego łóżka, ale nawet wolnego miejsca na podłodze, gdy przyniesiono małego Stasia. Chociaż... to, co przyjęła w swe chłodne ramiona pierwsza wanna w kabinie nr 2, było bardziej podobne do kukły niż do żywego dziecka. Było bowiem po prostu zwojem białych bandaży.

Mogło być chyba koło czwartej nad ranem, gdy zaczęto przynosić tych z Nowogrodzkiej. Bomba rozpruła czteropiętrową kamienicę od strychu do piwnic, jednocześnie rzucone bomby zapalające wznieciły od razu ogromny pożar. Wiele osób zostało pod gruzami. Ci, których zdołano wynieść — przedstawiali straszny widok.

Mały Staś był jednak tylko poparzony: twarz, ręce, nogi — nieomal czarne, nie miał też włosów, ani rzęs, ani brwi, był ślepy, a zamiast ust miał wąską szparkę. Tak wyglądał, gdy jeszcze leżał na noszach. Potem, po wyjściu z rąk lekarzy, był już — jak już powiedziałam — zwojem bandaży. Leżał w wannie nieruchomo i cichutko jęczał. Gdy się już trochę uspokoiło, a szpital wchłonął transport strzępów ludzkich, ocalałych z katastrofy domu przy ulicy Nowogrodzkiej, a było to już koło południa, — przyszedł jakiś mężczyzna i pytał o małego chłopca, przyniesionego tu nad ranem.

— Jest, jest! — zawołała radośnie jedna z sióstr sądząc, że zgłasza się ktoś z rodziny dziecka. Ale to był po prostu zupełnie obcy człowiek, który wyniósł chłopca z płonącego domu, a przyszedł się tylko dowiedzieć „czy mały będzie żył". I dopiero wieczorem jeden z ocalałych mieszkańców fatalnego domu, poznał w pakuneczku leżącym w wannie, Stasia, synka państwa W., nauczycieli gimnazjalnych.

— Oboje rodzice zginęli w moich oczach — powiedział cicho do sióstr — mały jest zupełnym sierotą.

Wieść ta rozniosła się po szpitalu i ranni, zapominając o własnym nieszczęściu zatroskali się tragicznym losem małego Stasia. I odtąd chłopiec stał się ośrodkiem ich współczującego zainteresowania. Często wśród dnia, w czasie największego nawet natężenia prac opatrunkowych, gdy my — siostry biegałyśmy niemal kłusem, a nękający obstrzał artylerii groził w każdej chwili zawaleniem się wątłego budyneczku szpitala, — Widełka z kabiny nr 6, ogniomistrz z amputowaną ręką, Baranowski spod nr 12 — szofer autokolumny z urwaną piętą, czy Fajans z 8 z przestrzeloną wątrobą — wołali:

— Siostro, siostro! Jak się ma chłopiec ten, co leży w wannie?

— Co on mówi?

— Czy może jeść?

Nie. Staś nie mógł jeść i nic nie mówił. Przy poprawianiu mu pościeli zauważyłam, że bandaże w okolicy oczu były mokre. Nie mogło tam nic przeciekać, ani krew, ani materia, musiały więc to być po prostu łzy. Pochyliłam się nad wanną i powiedziałam:

— Nie wartw się, chłopcze. Słyszałam, jak mówił pan Komendant, że na pewno będziesz widział.

Ale przyczyną niemych łez Stasia było co innego.

— Mamusia... nie przycho... wyszeptały ledwo dosłyszalnie jego zeskorupiałe wargi.

Zabrakło mi na chwilę tchu.

— Nie może, synku. Mamusia jest także ranna — skłamałam bez chwili wahania.

— Gdzie... ona... jest? — wyszeptał znowu chłopiec.

— W innym szpitalu — kłamałam dalej — bo u nas zabrakło miejsc.

I to było wszystko, o co zapytał Staś. O tym, gdzie jest, dlaczego ma zawiązane oczy, obandażowane ręce i co się w ogóle stało — nie mówił.

— Widać nic nie pamięta. Na rozum musiało mu paść — nie, Siostrzyczko? — dopytywał się Widełka.

— To wstrząs nerwowy po doznanym przeżyciu — wyjaśniałam — Jeszcze dzień — i uprzytomni sobie wszystko.

Jakoż chwila taka nie dała na siebie długo czekać. Następnego dnia, około godziny piątej po południu zapanował w szpitalu wyjątkowy spokój. Był on niejako odbiciem sytuacji w mieście, koło południa bowiem ustały naloty, osłabł też ogień artyleryjski. *) Napływ rannych zmalał do zera. Korzystając z tego lekarze wyszli, by choć trochę odpocząć po wyczerpującej, wielogodzinnej pracy, siostry z dyżuru nocnego, zatrzymane nawałem zajęć także już odeszły. Zostało nas tylko dwie dyżurne. Część chorych, ukołysana niebywałą od dawna ciszą — posnęła, nawet cierpiący jęczeli jakoś ciszej. Przysiadłam na chwilę na parapecie okna jednej z kabin i z ulgą wyciągnęłam przed siebie obolałe, opuchnięte od tylogodzinnej bieganiny — nogi. Przymknęłam nawet na chwilę oczy. Czując jednak, że grozi mi natychmiastowe zaśnięcie, otworzyłam je czym prędzej i jak się okazało, w samą porę, gdyż bandaż na głowie świeżo operowanego sapera zaczynał zabarwiać się na czerwono. Zerwałam się, by nałożyć nowy opatrunek, gdy nagle ciszę przerwał rozdzierający krzyk:

— Ratunku! Ratunku! Ogień!

W szpitalu zawrzało. Wiedziałam już, co to jest panika. Wiedziałam też już, że ranni i chorzy najbardziej ze wszystkich okropności wojennych boją się ognia. I istotnie: lżej ranni zerwali się z łóżek, ciężej chorzy — podnosili z wysiłkiem głowy wołając rozpaczliwie.

„Siostro! Siostro!" Ktoś zaczął histerycznie płakać.

Siostra Stanisława, pełniąca dyżur na pięterku, biegła już pędem po schodach gotowa jak zawsze do natychmiastowej akcji. Wołanie „ratunku" powtórzyło się, ale już słabiej, już ciszej.

Natychmiast zorientowałam się w sytuacji i, biegnąc wprost do kabiny nr 2, rzuciłam gromadzącym się w korytarzu rannym krótkie wyjaśnienie: — Uspokójcie się! To przecież Staś! Widocznie przekazali tę wiadomość dalej, bo już w następnej chwili w całym szpitalu zapanowała przejmująca cisza. I wtedy, w tej ciszy, rozległ się bardzo wyraźnie, tak wyraźnie, że słychać go było wszędzie, rozpaczliwy płacz małego Stasia.

— Tero go dopadło. Tero już wie — powiedział Widełka, a inni potaknęli mu smutnie głowami.

Tymczasem siostra Zofia (to znaczy ja) tuliłam w ramionach drobną kukiełkę, która w przystępie rozpaczy usiłowała wydostać się z wanny, co była „w sam raz". Kołysząc ją, jak niemowlę — uspakajałam: — Cicho, syneczku, cicho...

Powoli płacz przycichał. Zmęczony wysiłkiem Staś dał się uspokoić. Od czasu do czasu jeszcze tylko jego pierś podnosiła się ciężkim westchnieniem, a biedne sztywne od bandaży rączki poruszały się bezradnie.

Gdy po jakimś czasie usnął, wyszłam na palcach by zajrzeć, co się dzieje w innych kabinach. Panowała tam ciągle jeszcze wiele mówiąca cisza. Dziesiątki oczu zwróciło się wprawdzie w moją stronę, ale nikt mnie o nic nie pytał...

*) Był to moment wyjazdu z Warszawy korpusu dyplomatycznego.

---

na „Pieśń świętojańską o Sobótce", „Odprawę posłów greckich", „Psałterz" i „Treny", a więc główny korpus, podstawowy fundament całej swojej twórczości. Jakąż genialnie inteligentną i czułą żoną musiała być Dorota Podlodowska, skoro potrafiła tak zorganizować porządek domowy w Czarnolesiu, że jego właściciel mógł pogodzić te tak liczne obowiązki na raz, jak dziedzica, proboszcza, posła, ojca i poety.

A poeta trzymał tu prym przed wszystkimi innymi obowiązkami i zadaniami. Poezja była jego powołaniem z urodzenia. Chcąc dociec tej tajemnicy do końca, pojechaliśmy do miejsca jego urodzenia — do odległej o 22 kilometry od Czarnolesia Sycyny. Żegnał nas ledwie dosłyszalny poszum drzew czarnoleskich i śpiew ptaków, które głośno o czymś ze sobą „przepierowały".

Sycyna to jeszcze mizerniejsza wioska od Czarnolesia. Wybolsta i błotnista droga wiedzie do chłopskiej zagrody. Nieopodal niej, za stodołą wśród zboża stoi obelisk z drugiej ćwierci XVI-go wieku na miejscu, gdzie stała kolebka Kochanowskiego. Z pradawnego dworu ani śladu. Wszędzie dookoła szczere i gołe pola. Wtedy zapewne krajobraz był inny, bardziej drzewiasty. Tę Sycynę po ojcu Kochanowskiego odziedziczył jego młodszy brat Mikołaj, też poeta — autor „Rotul" — i ojciec słynnego tłumacza „Jerozolimy wyzwolonej" Torquata Tassa, Piotra Kochanowskiego, który się urodził też w Sycynie, jak jego stryj Jan, tylko 36 lat później. I też żył tylko jak stryj Jan 54 lata. Najpoetyczniejsza chyba wioska w Polsce, ta Sycyna, choć tak niepozorna i zaniedbana. Kłosy żytnie szumią dziś na miejscu, gdzie skrzypiały kołyski arcypoetów.

Wracamy do Łodzi przez Zwoleń. Tu leży pochowany Jan Kochanowski, ale więcej chyba tutaj znany za życia jako uczony proboszcz, niż jako poeta. Jakże niedaleko (bo zaledwie o sześć kilometrów) znalazła się jego trumna od jego kolebki. Życie jego, obejmujący cały niemal ówczesny świat kulturalny Europy, wróciło do miejsca, skąd wzięło początek.

Na zielonym skwerze w Zwoleniu stoi biały kamienny pomnik Jana z Czarnolasu. W sutej todze uczonego, z grubą księgą w lewej ręce. Uroczysty i namaszczony. Któżby się domyślił, że ten pomnik przedstawia poetę, który pierwszy do poezji polskiej wprowadził słowo „kurwa". Po nim dopiero w sto lat odważył się użyć tego słowa Wacław Potocki, a po nim niemal w dwieście lat dopiero subtelny i cierpki Juliusz Słowacki. Tak więc Jan Kochanowski pod każdym względem był w poezji pierwszym, który odkrywa i toruje drogę. A poza tym to żenujące słówko jakże dosadnie potwierdza i uwierzytelnia realizm jego poezji. Jej nierozerwalny związek z konkretnym i codziennym życiem. Ta poezja to życie samo. To już nie lipa, proszę państwa, to dąb czarnoleski naszej literatury.

Warto było pojechać do Czarnolesia, aby się przekonać, jakie bogactwo potrafi geniusz wydobyć z ubóstwa, jaki przepych wyobraźni ze skromności krajobrazu i jakie głębie myśli z szarej codzienności życia. Oto dlaczego potrzebna, a nawet niezbędna i konieczna jest poezja.

MARIAN PIĘCHAL

„RYCERSKI" WEHRMACHT

Dalszy ciąg ze str. 5

Ćwiczeń i koszary Baonu Pancernego przy szosie Konstantynowskiej). Punktem zbornym był kościół św. Katarzyny (Kriegsgefangenensammelstelle). W murach kościoła zamknięto żołnierzy i cywilów. I tu nie obyło się bez rabunku mienia osobistego. Ludność polska, przeważnie kobiety i młodzież organizuje pomoc dla uwięzionych. Jeńcom zamkniętym w Szkole Ćwiczeń podawano jedzenie przez siatkę. Pozbawieni wszelkich naczyń i menażek żołnierze polscy wyszukiwali na śmietnisku stare puszki, stłuczki,a gdy tych zabrakło menażkami stały się... czapki wojskowe. Przez pierwsze 4 dni Niemcy w ogóle nie pozwolili dojść do jeńców.

Wśród wiezionych do punktów zbornych było wielu rannych i chorych. Opadających z sił bezlitośnie dobijano. Całe składy pociągów stały po 2—3 dni na bocznicach. W każdym wagonie 60—80 żołnierzy. Nie wypuszczano nikogo. Potrzeby fizjologiczne załatwiali wszyscy w wagonie, a ekskrementy wyrzucali przez zakratowane okienka.

Szereg pojedynczych grobów w okolicy Zgierza jest wymownym świadectwem, które przetrwało do dnia dzisiejszego. Niektóre hełmy zawieszone na krzyżach podziurawione kulami. Uważny obserwator spostrzeże z łatwością, że kule nie przebiły hełmów w czasie walki. To „rycerski" Wehrmacht, gdy już nie stało żołnierzy strzelał do hełmów zawieszonych na krzyżach mogił.

— Ich nienawiść nie znała granic. Z taką samą nienawiścią mordowali, jak później burzyli pomniki, palili świątynie — na początek synagogi — i z uśmiechem triumfu kazali sobie czyścić buty.

Czy i do jakich wniosków doszli po ostatniej wojnie? Obserwując działalność ludzi, którzy kształtują opinię publiczną w NRF, choćby na przykładzie miesięcznika „Nation Europa", mamy prawo przypuszczać, że nie wiele zmieniło się w mentalności faszystów niemieckich. I dlatego przypominamy. Nie robimy tego z nienawiści lecz w imię tych wszystkich poległych, których cienie są wśród nas i wołają — nigdy więcej!

SŁAWOMIR FABJAŃCZYK
JANUSZ SKOWROŃSKI

odgłosy str. 7

UDERZANIE po KIESZENI

Pourlopowe refleksje

Dalszy ciąg ze str. 1

miesięcy przepracował w Warszawie, Łodzi, Płocku, Tarnowie czy Międzyrzeczu Podlaskim.

Ów obywatel posiada zagwarantowane najwyższymi ustawami **prawo do wypoczynku.** Prawo do **urlopu** — w zależności od rodzaju i stażu pracy.

Przez określoną ilość dni w ciągu roku zatrudniająca go instytucja zobowiązana jest płacić mu normalne wynagrodzenie, podczas, kiedy ów obywatel wypoczywa i nabiera sił do dalszej, całorocznej pracy. Tysiące względów zdrowotnych, (zarówno w sensie fizycznym jak psychicznym), przemawia za tym, aby rzeczony obywatel swój urlop spędził w innej miejscowości, niż ta, w której mieszka i pracuje. Jeśli chodzi o wielkie ośrodki przemysłowe — jest to rzecz nieomal niezbędna. Blisko pięćdziesiąt tygodni wdychania kurzu, pyłu muszą zrównoważyć dwa lub cztery tygodnie, podczas których płuca i system nerwowy odpoczywają nad morzem, nad jeziorami, w górach.

Wszystkie te oczywiste stwierdzenia zmierzają do jednego — wyjazd na urlop nie jest u nas „przywilejem zamożnych". To nie są modne wojaże „do wód" — ale konieczność i prawo, włączone w system socjalny, stanowiący przecież część rzeczywistego wynagrodzenia za pracę.

Ale to nie takie proste. Nie wystarcza przecież dać komuś miesiąc urlopu, trzeba przy tym zapewnić odpowiednie warunki wypoczynku w odpowiedniej miejscowości. Wiele zrobiliśmy w tej dziedzinie — wczasy i ośrodki turystyczne, domy wypoczynkowe i sanatoria, to właśnie owo niezbędne „zabezpieczenie", owa — pięknie już rozbudowana — „baza materialna".

I w tym właśnie miejscu mamy do czynienia z dziwną dwoistością, z dwuznacznością intencji. Z jednej strony urlop, wypoczynek, wyjazd traktowany jest jako naturalne prawo każdego człowieka pracy — z drugiej zaś... z drugiej szereg **państwowych** instytucji powiada tak, jak Wańkowiczowi ów arendarz: — my tu na was parę miesięcy czekali....

Czekali, żeby zarobić, żeby wykorzystać chwilę, żeby policzyć, drogo, żeby wyciągnąć jak najwięcej, żeby — nazwijmy wreszcie rzecz po imieniu — uderzyć po kieszeni.

Oczywiście, rozwój turystyki, wyjazdów, sieci domów wczasowych, stanowi dla wielu instytucji ogromną okazję zarobkową. W porządku — nikt o to nie ma pretensji. Zakłady gastronomiczne, PSS, różnorakie spółdzielnie działają przecież nie po to, aby do swojej pracy dokładać. Z pojęciem „dobrego interesu" nikt nie ma zamiaru walczyć — pod warunkiem, że jest to interes uczciwy. Coroczny napływ gości do Międzyzdrojów, Giżycka, Kudowy albo Bukowiny to właśnie szansa dla wielobranżowego przemysłu turystycznego — z tym jednak, że tabakiera przeznaczona jest dla nosa, a nie nos dla tabakiery. Ów przemysł turystyczny służyć ma ludziom pracy, którzy korzystają z zasłużonego wypoczynku, którym ten wypoczynek trzeba umożliwić **po możliwie najtańszej cenie.** Wynika to chyba z istoty prawa do urlopu, do wypoczynku.

Wiadomo, że w tej chwili nie starcza nam jeszcze miejsc w domach wczasowych dla wszystkich, którzy ich potrzebują i którzy mają do nich prawo. Ogromna rzesza urlopowiczów jedzie więc „na własny koszt". I — w tym momencie traktowani są jak przysłowiowi „bogaci turyści", z których jak najwięcej trzeba wyciągnąć. A więc po kolei różne rady narodowe nakazują swoim agendom pobieranie dodatkowych 10 proc. do wszystkiego, co się w danej miejscowości kupuje. Do chleba, do masła, do posiłku w restauracji, do małej czarnej, do mleka dla dzieci, do powietrza jakim się oddycha. Rozumiem jeszcze, jeżeli za te karty uzdrowiskowe i dopłaty cośkolwiek się urlopowiczom **daje** — ale w większości wypadków jest to po prostu dodatkowy haracz nakładany na biednego „wypoczynkowicza".

10 procent to za mało. Trzeba szukać innych sposobów wydobycia forsy. Oto popularna miejscowość nadmorska Łeba. W lecie, wiadomo, przyjeżdża wielu gości. Muszą gdzieś jadać. Na głównej ulicy otwiera się więc brudny i źle zaopatrzony „bar samoobsługowy". W okresie, kiedy jedno jajko kosztuje według oficjalnego cennika 1 zł 60 groszy — w tym barze jajecznica z 2 jaj kosztuje 6 zł 30 groszy. Na pytanie, jaka to tutaj marża obowiązuje? — otrzymuję uprzejmą odpowiedź, że bar jest filią restauracji, zatem mimo zgoła innych warunków — ceny ma restauracyjne i zmienić tego nie można...

Ale i restauracje są przecież różne. Była sobie w Ciechocinku restauracja III kategorii pod nazwą „Kujawianka". Mały widać przynosiła dochód, bo tego roku po prostu zmieniono jej kategorię. Na II. Prócz automatycznie wyższych cen — żadnych innych zmian nie przeprowadzono. Na Mazurach dokąd najchętniej wyjeżdżają grupy studenckie i uczniowskie, gdzie pełno autostopowiczów i ogromna przelotowość — ceny w restauracjach zupełnie zdumiewające. W Mikołajkach jest lokal I kategorii. W lokalu I kategorii „schaboszczak" ma prawo kosztować około 20 zł. Tak — ale chyba nie wtedy, kiedy ów lokal przy pomina zwykłą stołówkę, kiedy w pokoiku posiadającym 25 metrów kwadratowych stłoczono 12 (dwanaście) stolików! Zresztą to pojęcie „kategorii lokalu" staje się zwolna mitem, a nie realną możliwością dokonania wyboru w zależności od zasobności kieszeni. Owszem, restauracje Orbisu i kategorie „S" przy wygórowanych cenach zapewniają luksus, czystość, estetykę wnętrza, dobrą obsługę i kuchnię, wybór potraw. W innych kategoriach jest już wszędzie prawie jednakowo, tylko ceny odpowiednio wyższe... Nic mnie wobec tego nie zdziwiło że w Nidzie Ruciańskiej w restauracji III kategorii, bardzo biednej i ubożuchnej, gdzie jedzenie wyjątkowo niesmaczne i kiepska obsługa — ten sam schaboszczak kosztuje, aż 17 złotych. Kiedy jednak za porcję chleba ważącą około 2,5 dkg. policzono mi 50 groszy — spytałam, czy kilo ciemnego chleba kosztuje tutaj 20 zł? — W zimie jest taniej — usłyszałam w odpowiedzi. Czyli innymi słowy to, co arendarz z Podhala mówił Wańkowiczowi...

I tak odchodzi owo wyciąganie forsy, zalegalizowane odpowiednimi zarządzeniami miejscowych władz. Chcesz pić wodę mineralną w pijalni ciechocińskiej — płać za szklankę 1.50 zł. Chcesz oddychać powietrzem Krynicy — płać 10 procent więcej za jedzenie. Chcesz pojechać nad morze — idź do kiepskiego lokalu i płać jak za I kategorię. Pracowałeś przez rok i chcesz korzystać z urlopu — bardzo dobrze, bardzo ładnie. Tylko płać za wszystko o wiele drożej. Przecież czekaliśmy na ciebie kilka miesięcy...

I być może, przyzwyczajona, wcale bym nie zarcagowała, gdyby nie super szukańcza praktyka pewnej spółdzielni „Turysta", działającej na terenie Mazur. Ta spółdzielnia w centrum Ruciańego postawiła (bardzo zresztą brudny) samochód ciężarowy i sprzedaje w nim konserwy, koncentraty, pomidory, napoje chłodzące. Sprzedaje z kilkunastuprocentowym narzutem. Czyli: wołowina w puszce zamiast 20 zł kosztuje 22,50. Wieprzowina z fasolką zamiast 12 zł — 13,50, pomidory nie 16 zł za kg tylko 18 zł. Ale obok (w odległości 5—10 metrów) znajdują się kioski i sklepy innych spółdzielni i instytucji. Wytworzyła się więc paradoksalna sytuacja, bo **te same** produkty o pięć metrów bliżej lub dalej można kupić po normalnej cenie. Tak — ale Ruciane to ogromne centrum przelotowe, przez okrągły dzień zaopatrują się w nim w żywność obozy wodniackie, grupy studenckie i prywatni campingowcy rozmieszczeni wokół brzegów wielkich jezior. Nie wszyscy **wiedzą,** że te same pomidory, o 2 złote tańsze kupić można naprzeciwko, po drugiej stronie jezdni. Często też atrakcyjniejsze puszki są w ciągu dnia wykupowane, i nim się spółdzielnie i kioski znów w nie zaopatrzy — mija kilka dni. Wówczas spółdzielnia „Turysta" zbiera najobfitsze żniwo. Czymże to jednak jest jak nie spekulacją i oszustwem?

Czy wszędzie jest tak źle? Nie, bo nie wszędzie działa pomysłowa spółdzielnia „Turysta". Ale, ogólnie rzecz biorąc, **nastawienie wobec urlopowicza** jest wszędzie takie samo: chciało ci się przyjechać? To płać. Czekaliśmy przecież na ciebie przez kilka miesięcy.

Tak więc nie chodzi tu o załatwienie jakiejś sporadycznej sprawy — ale o odpowiedź na pytanie, **dlaczego** za jedzenie, za siedzenie w kawiarni, za obiad w restauracji — mam podczas urlopu płacić więcej niż w miejscowości, z której przybywam?

Dlaczego jestem traktowana jak „wróg nr 1", jak „bogaty turysta", z którego za wszelką cenę należy drzeć skórę?

Dlaczego hasłem dnia instytucji państwowych, miejskich, spółdzielczych nie jest zapewnienie **najtańszego** urlopu?

ALINA GRABOWSKA

HE KEPT HIS WORD

A ship was three days'sail from Liverpool. In the fore part of the ship was found a boy. His face was thin and pale.

The mate, before whom he was brought, said in a loud voice:

— Well, my boy, what has brought you here?

The boy replied:

— My father and mother are dead. I have to go to my aunt in Halifax. Here's her address.

He put his hand in his pocket and brought out a dirty scrap of paper with the address on it. The mate answered:

— I don't believe you.

The boy looked up and said:

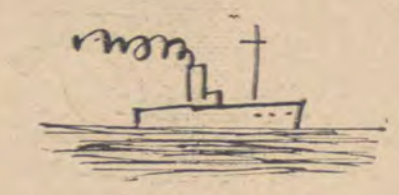

c) appreciation of the culture associated with the second language.

All teachers of a second language should have some knowledge of the pupil's first language.

IT ISN'T TRUE TO NATURE

Mark Twain was visiting one of his friends. The host led the humorist into his library. He said:

— There, it is a bust of a young woman, combing her hair. It is a graceful example of Italian sculpture. What do you think of that?

Mark Twain looked at it for a moment. Then he said:

— It isn't true to nature.

— Why not? — asked his friend.

— She ought to have her mouth full of hairpins.

TILL EULENSPIEGEL

Eines Tages kam Till Eulenspiegel in die Stadt Erfurt. Dort ging er in die Hochschule und sprach zu den Studenten:

— Ihr lehrt die Menschen lesen und schreiben. Ich lehre sogar einen Esel lesen.

Die Studenten lachten ihn aus und sagten:

— Gut, zehn, Goldstücke bekommst du dafür. Aber wo ist dein Schüler, der Esel?

Eulenspiegel antwortete:

— Er ist bei mir im Gasthof. Kommt in zwei Wochen zu mir. Da könnt ihr sehen, was er gelernt hat.

— Gut, — sagten die Studenten.

— Wievel Geld haben Sie verloren?

— 800 Gulden, — antwortete dieser.

Dann fragte der Richter den ehrlichen Finder:

— Wieviel Geld haben Sie gefunden?

— 700 Gulden.

Dann dachte der Richter noch einmal lange nach und sagte:

— So, Sie nehmen, ehrlicher Finder, das Geld wieder zurück. Sie werden warten, bis der Mann kommt, der 700 Gulden verloren hat. Und Sie, mein Herr, Sie werden noch warten müssen bis sich der ehrliche Mann meldet, der Ihre 800 Gulden findet.

So sprach der kluge Richter und dabei blieb es.

WEISST DU?...

...dass man aus einem einzigen Elephantenzahn Tasten für fünzehn Klaviere machen kann?

...dass der Rüssel eines Elephanten vierzigtausend Muskeln hat?

...dass Mäuse sehr kokett sind? Wenn eine Maus vor einen Spiegel kommt, so wirst du sehen, dass die Maus in den Spiegel schaut und zu tanzen beginnt.

...dass die Eule ihre Augen nicht bewegen kann? den Hals kann sie aber sehr leicht bewegen. Sie kann sogar genau nach hinten sehen.

...dass der Frosch nicht trinken kann? Er trinkt mit der ganzen Haut.

...dass die Pflanzen zwischen vier und sechs Uhr morgens mehr wachsen als den ganzen Tag?

TADEUSZ PAPIER

Zgon o ranne j godzinie

13

Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny", przeżywają najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wraca do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli. Przyjaźnią się tu z Tosiem, który zakochuje się w Marioli. Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zaproponował spółkę w handlu. Od tej — nieudanej zresztą — spółki zaczyna się nowa seria przygód naszych bohaterek. A wiesz, że Geograf namawia Magdę do kontynuowania nauki. Kostek, syn Magdaleny, zakochany w Mariolce, zaprasza ją do Domu Kultury na zabawę. Pojawia się Wrzesień. Marcysz, Mirka na całe dnie z domu. Mariola to nabardziej niedobry Magdę.

Kostek odprowadził mnie prawie pod sam dom. Na szczęście, po drodze nie rozmawialiśmy o jego zwariowanych listach, nie mówił nic o swoich uczuciach do mnie. Widocznie nie miał odwagi, a ja nie myślałam go również zachęcać. Byłby bardzo ucieszony, gdybym go zaprosiła do domu, wyobrażam sobie, że ciotka również skakałaby do góry, ale go bardzo szybko spławiłam. Tym bardziej, że wydawało mi się, jakby od nas wyszedł milicjant. Nie byłam pewna na sto procent, ale zobaczyłam go właśnie na wprost naszej furtki, jeszcze się obejrzał i zasalutował. Przeraziłam się nie na żarty. Pan zna mój stosunek do milicjantów. Właśnie. Więc co mógł robić u nas milicjant? Pożegnałam Kostka, rzecz jasna, że był zdumiony moją nagłą ucieczką i jak wariatka wpadłam do domu. „Ciociu był tu milicjant?" Czego chciał?". „A był" — odpowiedziała ciotka. „Po co przyszedł? Co mówił?". Ciotka podniosła rękę, by położyć ja na moim ramieniu, a w ogóle wydała mi się bardzo niespokojna, nie wiem, może się myliłam. Rzuciłam jej — zawołałam — mów, bo umrę". „Uspokój się, wariatko — odpowiedziała ciotka — Nic złego się nie stało". „No to dlaczego przyszedł milicjant? Co ciocia ma z nim wspólnego?". „Pytał się o Mariolę — powiedziała ciotka. „Ach, tak? Stało się coś?". „Nie wiem — odparła ciotka. — Przyszedł, przedstawił się, zapytał czy mieszka tutaj Mariola i czy ty to Mariola. Ciotka chciała mnie zagadać i zręcznie wypytywać o Kostka, ale nie chciałam nic na ten temat mówić. Boże kochany, Mariola była teraz dla mnie najważniejsza, co mnie obchodził ten flet, Kostek, i jego głupie wyznania. „Ciociu — powiedziałam. — Spotkałam się z Narczyem. Narcyz coś wie o Marioli. Powiedział, że do mnie zadzwoni". Żeby pan widział, jak ciotka zareagowała na tę wiadomość. Mam jeszcze w uszach jej okrzyk. „Ach, Magda!". Nie umiała ukryć zdenerwowania. Rany, dawno jej nie oglądałam w takim stanie. „Nigdy w życiu! — oświadczyła zniecierpliwionym tonem. — Nigdy w życiu nie pozwolę na to. Nie spotkasz się z Narcyzem. Nie będziesz z nim rozmawiać. Mam po dziurki w nosie twojego Narcyza!". „Ech, ciociu — powiedziałam — za kogo mnie bierzesz?". „Nie wyjeżdżaj mi z Narcyzem — krzyknęła ciotka. — Nie ma mowy o żadnym Narcyzie. Nie chcę o nim słyszeć!". „Boże święty, ciociu, myślisz, że ze mną jest tak źle? Czego się obawiasz?". — zapytałam. „A czy może być gorzej? — zdziwiła się ciotka. — Za jednym głupolagiem już się milicja ugania. Czy ja wiem, co się dzieje z Mariolą? Co ta wariatka nabroiła? Nie chcę, żebyś wróciła do tej twojej Ceśki. „Pan wie, ciotka mówiła o tej wróżbiarze Cześce, ale niepotrzebnie wystrzeliła z takiej armaty. „Słuchaj, ciociu — powiedziałam stanowczo — jeśli nie chcesz, żebym wpadła w nowe kłopoty, to lepiej nie mów. A czy łobie naprawdę milicjant nie niezdradził? — dosłam jak po śmierci Taty, kiedy to Mariolę wezwano na komisariat. Ciotka chciała wzruszyła ramionami i usiadła na krześle z tak zrezygnowaną miną, że przestałam ją nagabywać. „No jakże — powiedziała — przecież od godziny ci to tłumaczę".

Pyta pan, w jaki sposób Narcyz wybrnął z sytuacji? Zapewne, miał trudności, bo wiedział, że jeżeli się u nas pojawi, ciotka przegoni go na cztery wiatry. Prawdę rzeczywiście kilka razy dzwonił do mnie i ciotka wyzwała go od ostatnich. Ale nie przyznał się do jednego. Ostatnim razem, ciotka miała już dość tych telefonów, i powiedziała do niego „Ty złodzieju, awanturniku", a on najbezczelniej odpalił: „Nie wiem, co lepsze, bo pani jest ciotką kurewki". No więc po tej rozmowie nie mógł się nas pojawić. Mnie to wszystko jedno, jak kto się do mnie odniesie, ale ciotkę krew zalewała. Jasne, nie powiedziała mi o tym, nie poprosiła, nie powiedziała mi o tym, nie powtrzebuję mówić dlaczego. Proszę, niech pan mnie nie wybiela, nie panu z tego nie przyjdzie. Mówi pan, że powinnam się obrazić na Narcyza? Boże święty!

Jednak Narcyz znalazł wyjście. Przysłał na drugi dzień do nas tego ryżego kumpla, z którym był na meczu. Dał mu taką instrukcję, że gdy zastanie ciotkę, to powie, że przyszedł od Marioli. Natomiast, gdy ciotki nie będzie, powie wprost o co chodzi. Nie przewidział tylko jednego, że u nas był już milicjant i ciotka nie dałaby się nabrać. Ten milicjant przestraszył ją nie na żarty. Przekonałam się po ostatniej rozmowie z Narcyzem, że ciotka mi nie wszystko mówi. Niech pan się uspokoi, nie gniewam się o tę kurewkę, inni powiadają na mnie Mila Jill, albo jeszcze inaczej, a...

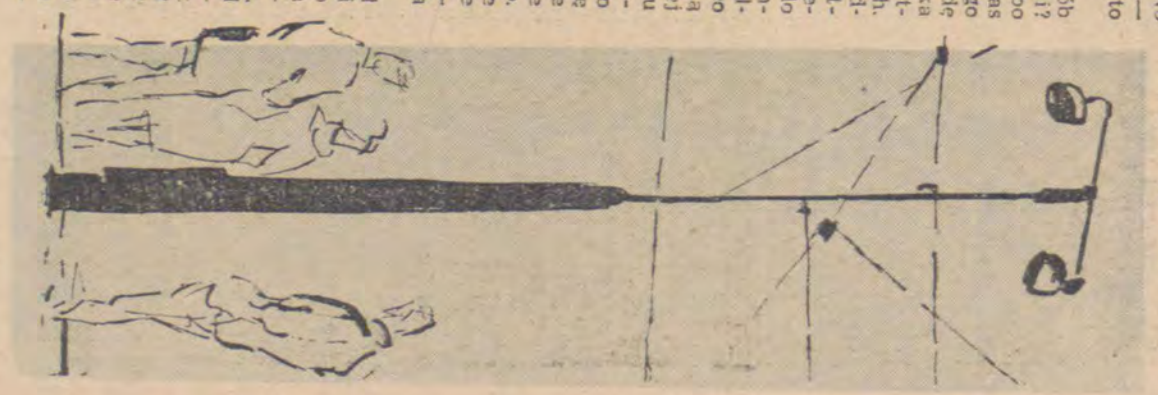

Dalszy ciąg na str. 10

— I've told you the truth, and I have no more to tell. The mate, taking out his watch, said to the boy:

— I'll give you fifteen minutes, and if you don't tell the truth before the time is up, I'll kill you.

The crew looked on in silence. The mate shouted:

— Eight minutes! Your time is nearly up!

— I've told you the truth, — answered the boy. He was very pale, but as firm as ever. The boy asked:

— May I say my prayers, please?

The mate nodded. The boy went down on his knees and lifted his hands to pray....

— Now, I'm ready, — said the boy.

The mate was overcome. He burst into tears:

— God bless you, my boy.

The boy didn't answer. The mate continued:

— You're a true man. I'll be your father.

The mate kept his word.

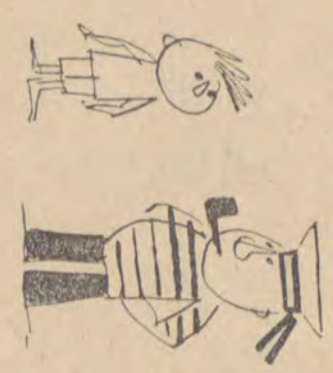

Eulenspiegel kehrte zurück. Im Stall des Gasthofes stand sein Esel. Eulenspiegel nahm ein altes Essen und legte zwischen die Seiten des Buches etwas zu essen. Dann legte er das Buch vor den Esel. Der Esel schlug mit der Zunge die Seiten des Buches um und suchte, was dort zu essen ist.

Das wiederholte Eulenspiegel jeden Tag. Der Esel wusste schon, dass zwischen den Seiten des Buches Hafer liegt.

Nach zwei Wochen kamen die Studenten zu Eulenspiegel in den Gasthof und fragten:

— Nun, wie geht es deinem Schüler? Kann er schon lesen?

Eulenspiegel führte die Studenten in den Stall. Der Esel war hungrig. Eulenspiegel sagte:

— Das Lesen ist eine grosse und schwere Wissenschaft. Mit dem ABC fängt es an. Mein Esel hat schon zwei Buchstaben gelernt. Nun seht und hört, wie er liest.

Mit diesen Worten legte Eulenspiegel das Buch vor den Esel. Der Esel war hungrien. Gleich begann er mit der Zunge in dem Buch zu blättern. Aber diesmal war kein Hafer zwischen den Seiten des Buches. Der Esel schrie laut:

— I — A! — I — A!

Eulenspiegel sagte:

— Habt ihr gehört. Zwei Buchstaben hat er schon gelernt, I und A. Für den Anfang ist es sehr viel. Besonders für einen Esel. Nun gebt mir mein Geld.

Die Studenten lachten und sagten kein Wort. Sie gaben Eulenspiegel die zehn Goldstücke.

Eulenspiegel nahm seinen klugen Esel und ging in eine andere Stadt.

UNESCO CONFERENCE ON FOREIGN LANGUAGES

UNESCO held its first conference on foreign languages in elementary education at the UNESCO Institute for Education in Hamburg, April 9—14, 1962.

The meeting has been arranged jointly by the UNESCO Institute and the UNESCO Department of Education in Paris. Some twenty experts were present (from Belgium, the Federal Republic of Germany, France, India, Ireland, Israel, Italy, Morocco, UK, USA, and USSR).

Here are some of their conclusions:

1) A child can begin a second language as soon as he attends school, starting even in kindergarten.

2) The language skills should appear in the order
   a) understanding and speaking
   b) reading and writing

In the early stages teaching should be purely oral.

3) With younger children, puppets, toy telephones, toy kitchens, stores, costumes, and masks may be used to create and present language-learning situations. It is most important to enable the children to enter a new linguistic atmosphere in which the second language is used as a natural medium of living.

4) Formal grammar should not be introduced in the early stages.

5) Teaching these young children is a skilled job which requires approriate training. Such training should contain as essential components:

   a) training in the teaching of the age group which the student will be expected to teach,

   b) training in the methodology of teaching a language as a foreign language.

DER KLUGE RICHTER

nach J. P. Hebel

Ein reicher Mann hatte eine grosse Geldsumme verloren. Er machte den Verlust in einer Zeitung bekannt. Der ehrliche Finder sollte eine Belohnung von 100 Gulden bekommen.

Eines Tages kam ein ehrlicher und guter Mann zum reichen Mann und sagte:

— Mein Herr, Ihr Geld habe ich gefunden. Nehmen Sie es wieder zurück.

Der reiche Mann war sehr froh. Er dankte dem ehrlichen Finder und begann das Geld zu zählen. Dann sagte er:

— Guter Freund, ich habe 800 Gulden verloren und hier habe ich nur 700. Sie haben wohl Ihre Belohnung selbst genommen. Ich danke Ihnen. Auf Wiedersehen.

Der ehrliche Mann antwortete:

— Mein Herr, das ist aber nicht schön. Ich habe die 100 Gulden nicht genommen. Ich bitte Sie also um die Belohnung.

— Nein, Sie haben die Belohnung schon selbst genommen.

— Nein, ich habe das Geld nicht genommen.

Die Männer stritten noch lange, aber dann gingen sie zum Richter. Beide erzählten ihm die ganze Geschichte:

— Ich habe nur 700 gulden gefunden, sagte der ehrliche Finder.

— Ich habe 800 Gulden verloren, — klagte der reiche Mann.

Der kluge Richter dachte lange nach, dann fragte er den reichen Mann:

Dalszy ciąg ze str. 9

chodzi o to samo, proszę mi nie przerywać. Więc nie posądzalabym ciotkę o taką przewrotność. Źle o niej nie myślę, chodzi mi tylko o to, że ciotki nie znałam. Zdawało mi się, że ją znam, ale to nieprawda. Mówiłam już kiedyś, że ciotka wyglądała tak, jak wyglądają ciotki. Nie powiem, żeby moje określenie było udane.

Więc ten ryży facet nie zastał ciotki w domu. Miała w tym tygodniu zmianę popołudniową, ale wyjechała do miasta zaraz po śniadaniu. Byłam pewna, że nie tylko po zakupy. Z pewnością pojechała do matki, a może zaalarmowała Geografa, kto ją zresztą odgadnie, dokąd? Więc ten ryży flet nie zastał ciotki. „Cześć, Magda — powiedział — przysyła mnie Narcyz". „Czego chce Narcyz?" — zapytałam. „Wiesz, o co chodzi. Narcyz czeka na ciebie". „Dobra jest — odparłam. — Przebiorę się i fruniemy". W trzy minuty byłam gotowa. Ubrałam się w tę samą bluzkę, w której byłam po raz pierwszy u Geografa. Ryży gwizdnął z zachwytu. „Pierwsza klasa" — powiedział. Pojechaliśmy do mieszkania Ryżego na Główną. Po drodze gęba mu się nie zamykała. Nie przypuszczałam, że jest takim fajnym kumplem. Na meczu zrobił na mnie okropne wrażenie. Nie wiem, czy pan słyszał o takim gościu, który skradł jednemu szoferowi samochód. Była to głośna heca, Ryży miał dziewczynę i ta dziewczyna namówiła go do kradzieży. Wyczytali obydwoje w „Głosie" o jednym głupim Hiszpanie, który, żeby dowieść narzeczonej, iż gotów jest dla niej skoczyć w ogień, podpalił dom i z narażeniem życia wydobył ją z płomieni. Ryży chwalił się przed swoją dziewczyną, że potrafi to samo uczynić, co ów Alfonso, ale ta wariatka, nie miała jeszcze szesnastu lat skończonych, była trzeźwiejsza, niż ta z Hiszpanii i kazała Ryżemu zdobyć samochód. Nie obyło się przy tym bez bójki z szoferem, właśnie wtedy Ryży stracił ząb, a ponieważ miał jeszcze wcześniejsze skoki na sumieniu, skradł już trzy motocykle, i z łapał wówczas wyrok na rok i sześć miesięcy z zawieszeniem, więc po tej ostatniej hecy nie mógł liczyć na pobłażanie. Zasunęli mu dwa lata, jak obszył. W pace poznali się z Narcyzem. Wie pan kolek od śmiechu dostałam, kiedy mi Ryży powiedział, że jedna z tych umalowanych wydr, które były na meczu, to właśnie Ziutka, jego wielka miłość.

Jakby pan zgadł, u Ryżego zastaliśmy Ziutkę i Narcyza. Nie potrzeba mi wiele mówić, od razu wyczułam, co się święci, przeszłam niezłą praktykę u Długiego i Boruty. „Co to Narcyz, widzę, szykujecie ubaw?" — zapytałam, bo na stole były już nakrycia, kieliszki. „Coś myślała? Musimy oblać nasze spotkanie". „Co porabiasz, Narcyz?". „Czekam na ciebie" — odparł śmiejąc się. Nic się pod tym względem nie zmienił. Wesoły był jak za najlepszych czasów, nic nie było poznać, że, jak pisał w pace, zabito mu słońce i radość życia. „Ale co robisz naprawdę? Wcale nie chodzi o mnie" — odparowałam mu. „No więc ci powiem. Pracuję". „Naprawdę Narcyz? Gdzie pracujesz?". Narcyz odpowiedział: „Przypominasz sobie Cześka? Tę lalunię, którą tatuś wyratował od paki? Ten od wełny". Jakżebym mogła zapomnieć o Cześku. Od niego zaczęła się przecież cała heca. Zaczęłam praktykę od tej wełny Cześka. „Owszem — odpowiedziałam — pamiętam dobrze". „No więc jego ojciec wystarał mi się o pracę, W wykończalni. Na razie idzie nieźle. Dwa i pół tysiąca zet miesięcznie". Mówił tak przekonująco, że o mało się nie nabrałam. Ale ta głupia idiotka Ziutka parsknęła śmiechem. „Nie wierz mu, Magda!" — wtrąciła. Narcyz podbiegł do niej. „Więc co? Nie pracuję?" — zapytał. Ziutka zaśmiewała się w dalszym ciągu. Rany, jak się okropnie śmiała. Strasznie głupia gęś. Nie mogłam zrozumieć, co w niej widział Ryży, że nawet w ogień gotów był skakać. „No tak — powiedziała — pracujesz, ale tyle nie zarabiasz". „Fruwaj stąd — krzyknął Narcyz. — Idź do kuchni i przynieś żarcie. Ziutka usłuchała, ale jej głupi śmiech słychać było jeszcze z kuchni, a Narcyz otoczył mnie ramionami i pocałował. „Bez wygłupów" — wyrwałam się z jego objęć i poprawiłam spódnicę. „Coś ty, Magda — oburzył się Narcyz. Przepowiadałem ci, że w końcu będziesz moją. Boruta się na tobie nie poznał". „Z Borutą koniec pieśni" — zauważyłam. „Właśnie. Chociażby dlatego, że trzyma teraz z Mariolą". Chciał jeszcze mnie pocałować, ale zdecydowanie odsunęłam się od niego. „Słuchaj, Narcyz, miałeś mówić mi o Marioli. Co z nią?".

Narcyz nie miał najmądrzejszej miny. Zaledwie zadałam to pytanie, a poznałam, że niewiele dowiem się od niego o Marioli. Jak mogłam się tego wcześniej nie domyślić! Narcyz był urodzonym blagierem, wiedziałm to nie od dziś. Chciał się ze mną spotkać i koniec pieśni. „Mariola odwiedza Borutę w więzieniu" — powiedział. „Coś ty, naprawdę?" — zdziwiłam się. „Odwiedza go. Niemal co drugi dzień jest u niego" — rzekł z przekonaniem Narcyz. „Nie bujasz? Co drugi dzień? — zapytałam. — Jak może co drugi dzień tam bywać?". „A Kulawego pamiętasz?" — zapytał mnie z kolei Narcyz. „Dlaczego miałabym o nim zapomnieć?" — odparłam. Kulawego przezywano milionerem. Kulawy, Boże święty, był bez grosza, a tak otumanił jedną kobietę, że głowę dla niego straciła i przez cały czas pobytu w więzieniu przysyłała mu paczki. Napisał list do jednej babki, że jest bogaty, że posiada duży majątek, trzy samochody osobowe oraz umeblowanie trzech pokoi i kuchni, poza tym biżuterię i futra, okropne łgarstwa, aż się wierzyć nie chciało, że znajdzie się taka naiwna, która w to wszystko uwierzy. I co pan powie, Kulawy trafił na taką idiotkę, potrafił wszystkich otumanić. „No więc? — zapytał Narcyz. — Boruta jest jeszcze lepszy niż Kulawy. A poza tym w grę wchodzi miłość. Mariola zwariowała na punkcie Boruty". „Co wiesz jeszcze o Marioli?" — zapytałam. „Czy to mało? — zdziwił się Narcyz. — Resztę sobie dośpiewaj". „Wiem coś więcej" — powiedziałam. „Co wiesz, dziecino?" — zapytał Narcyz lekceważącym tonem. „Milicja ją szuka" — powiedziałam.

Rany, jak się Narcyz zmienił na twarzy. Zastrzeliłam go tą wiadomością. Ryży z Ziutką wnieśli wódkę i żarcie. Narcyz nalał sobie pół szklanki i łyknął jednym haustem. „Co ty robisz, Narcyz!" — krzyknął Ryży. „Ty wiesz, że Mariolę szukają" — powiedział do niego Narcyz. Ryży przechylił głowę na bok i trwał tak chwilę w milczeniu. „No wiesz, nie spodziewałem się tego" — powiedział Ryży. „Słuchaj, Magda, opowiedz dokładnie, jak to było z tą milicją". Więc opowiedziałam im wszystko. „Czy ona coś z Borutą nie kombinowała?" — zapytał Ryży.

D. c. n.

ZE ŚWIATA

TELEwizja

AUDREY HEPBURN jest tak bardzo popularna, i tak dobrze znana, że właściwie nie potrzebujemy przedstawiać jej naszym czytelnikom. Ale o Audrey Hepburn mówi się tylko i wyłącznie jako o znakomitej aktorce filmowej, gdy tymczasem ugruntowanie swojej błyskotliwej kariery aktorskiej, a w związku z tym i sławy, zawdzięcza w Stanach Zjednoczonych nie tylko filmowi, ale w równej mierze telewizji. W tej chwili co prawda Hepburn nie występuje już na małym ekranie. W ogóle „kręci" niewiele, z długimi przerwami, co dziennikarze tłumaczą jej kameralnym usposobieniem oraz zamiłowaniem do spokojnego i rodzinnego życia domowego.

Audrey Hepburn dla filmu została odkryta w 1951 roku. Zagrała wtedy swoją pierwszą główną rolę filmową w „Rzymskich wakacjach", która z miejsca przyniosła jej sławę, „Oskara" i tytuł najpopularniejszej aktorki 1953 roku. Jednak już przed „Rzymskimi wakacjami" grała w jednym z teatrów na Brodwayu tytułową rolę w „Gigi" Colette. Następne filmy po „Rzymskich wakacjach" ugruntowały pozycję aktorską Hepburn, potwierdzając jej wielki talent aktorski. („Miłość po południu", „Wojna i pokój", „Śmieszny pyszczek"). W tym właśnie czasie, występując jednocześnie w teatrze, Audrey Hepburn, kreowała wiele ról w spektaklach telewizyjnych, między innymi w „Ondynie" Giroduox, które bez reszty zjednały dla niej sympatię i uznanie widzów amerykańskich.

Obecnie Hepburn mieszka na stałe w Szwajcarii. Jednym z ostatnich jej filmów jest „Śniadanie u Tiffany" reżysera Blaka Edwardsa. Hepburn zagrała tam po raz pierwszy role dziewczyny „z przeszłością". Zdjęcie Audrey Hepburn pochodzi właśnie z filmu Edwardsa „Śniadanie u Tiffany".

Audrey Hepburn ukończyła niedawno realizację filmu „Godzina dziecięca", w którym interpretuje rolę nauczycielki żeńskiej szkoły, oskarżoną o homoseksualizm. W „Godzinie dziecięcej" występuje również Shirley Mac Laine znana polskim widzom z „Garsoniery" Wildera a teraz przygotowuje się do objęcia głównej roli w muzycznej komedii według Pigmaliona Shawa, gdzie jej partnerem będzie Richard Burton.

PLANY PROGRAMOWE na NAJBLIŻSZY SEZON

Wreszcie doczekaliśmy się końca kanikuły w programie telewizyjnym. Trzeba przyznać, w samą porę, bo cierpliwość już zaczynała się powoli wyczerpywać. No, ale złe mamy poza sobą: przetrzymaliśmy jakoś owe nieszczęsne miesiące letnie, nabawiając się wszakże lekkiej niestrawności. Od następnych „ogórków" dzieli nas całe dziesięć miesięcy, i ta piękna, bo długa liczba — pociesza nas w jakiejś mierze. Przydałoby się pomartwić na zapas, i powiedzieć to lub owo, a wszystko najcięższego kalibru, pod adresem Telewizji, która zupełnie jak biurokratyczny urzędnik, a nie jak błyskotliwa Muza, upłynniała remanenty, nie dbając o szarego i zmęczonego klienta, myślę jednak, że nam, głodnym, musztarda po obiedzie niewiele już pomoże. Teraz przyszedł czas na rekonwalescencję po letnich niestrawnościach.

Miesiąc wrzesień zapoczątkuje nowy sezon jesienno-zimowy w programie telewizyjnym. Wszelkie znaki na ziemi, — niebieskim nie wierzmy wskazują, że będzie on tym razem naprawdę atrakcyjny i lepszy od zeszłorocznego. Co prawda, podobne zapewnienia słyszymy każdego roku, ale może jednak tym razem zostaną dotrzymane. Nie ma to, jak nadzieja — „uśmiechnij się, jutro będzie lepiej" — wygłasza przecież pani Dziedzic po każdym swoim Tele-Echu. Nie pozostaje nam nic innego, jak wierzyć.

O tym, jakie pozycje programowe przygotowuje wraz z nowym sezonem telewizja łódzka dowiedzieliśmy się wyczerpująco z „Rozmowy o programie". Ogólne zmiany, przewidziane do szybkiego, aktualnego zrealizowania zopowiedział natomiast prezes Włodzimierz Sokorski (Radio i Telewizja nr. 33). To już oznacza coś więcej niż pocieszenia pani Dziedzic.

I tak Telewizja nareszcie spełni jedną z najbardziej wyblagiwanych, wymolesto wywanych przez telewidzów próśb i program telewizyjny od września zostanie przedłużony o przeszło godzinę. Zaczynać się będzie o godz. 17, audycjami dla dzieci, a od 18 do 23 emitowany będzie program dla młodzieży i dorosłych. W godzinach wieczornych telewizja obiecuje dawać głównie pozycje lekkie, rozrywkowe, a więc: film fabularny, teatr, programy rozrywkowe. Film fabularny (miejmy nadzieję, że zostanie umiejętniej selekcjonowany tematycznie, że mniej otrzymamy „powtórzeń", a już nie zdarzy się nigdy, aby jeden i ten sam film wykorzystywany był do trzech razy, jak to się onegdaj nie raz i nie dwa przytrafiało w TV) — otrzyma trzy edycje tygodniowo, poza filmami seryjnymi, dwa razy w tygodniu wejdzie na antenę teatr, raz estrada poetycka, no i koncerty rozrywkowe. Muzyki poważnej, prezes Sokorski nie obiecuje zbyt dużo, ponieważ nie znaleziono jeszcze dla niej odpowiedniej oprawy telewizyjnej.

Zmianom ulegnie strona techniczna Dziennika Telewizyjnego. Zostanie on poważnie rozbudowany i będzie składać się z dwóch wydań: pierwsze, popołudniowe o godz. 18, oraz drugie, znacznie poszerzone, urozmaicone magazynami filmowymi o godz. 20. Czas, pomiędzy pierwszym wydaniem, a drugim Dziennika zajmą audycje publicystyczne, na które położy się szczególny nacisk. Przede wszystkim na dotąd mocno zaniedbane i prawie całkowicie omijane przez telewizję problemy oświatowe. Rozszerzenie przewiduje się również dla publicystycznych audycji młodzieżowych.

I dalsze innowacje: w niedzielę, prawdopodobnie w godzinach obiadowych zupełnie nowa pozycja: Wszechnica Rolnicza. Zważywszy na bardzo szczupłą część programu telewizyjnego poświęconego wsi, ta inicjatywa wydaje się niezwykle potrzebna i przydatna. Z innych, należy nadmienić o projekcie poszerzenia programu filmów dokumentalnych.

„Program centralny to jednak nie tylko program warszawski. Wręcz przeciwnie. Przewidujemy znaczny wzrost programu rozgłośni wojewódzkich w programach nadawanych z Warszawy. I to zarówno z motywów merytorycznych, jak i technicznych. Sądzimy, że należy w większym niż dotąd stopniu informować Warszawę i cały kraj o życiu gospodarczym i kulturalnym ośrodków terenowych. Staje się to tym bardziej konieczne, że osiągnięcia terenu niczym nie ustępują osiągnięciom warszawskim, a niejednokrotnie są od nich ciekawsze i godne szerokiego upowszechnienia" — w taki to, łechtający naszą dumę i próżność, sposób wyraził się prezes Sokorski. No cóż, bardzo to ładnie, że osiągnięcia i możliwości ośrodków terenowych zostają tam, w górze zauważone, zanotowane i wzięte pod rozwagę, za wcześnie jest, aby cokolwiek pewnego powiedzieć, w każdym razie, oświadczenie prezesa Sokorskiego to już jest coś, bardziej konkretnego niż zapewnienie pani Dziedzic. Jednak na uśmiechy jeszcze jest zbyt wcześnie. Pożyjemy, zobaczymy.

KOWALSKI

„GRUBE RYBY" w programie ogólnopolskim

O ile pamiętam, dwa tylko razy na przestrzeni dwóch ostatnich lat, użyczyła Warszawa Łodzi swego transmisyjnego wozu. Raz z okazji meczu bokserskiego Polska — Szkocja, co zrozumiałe ze względu na patriotyzm, ogólnonarodową krzepę i niebagatelną siłę krzyku reprezentowaną przez zjednoczone masy kibiców, a drugi raz z okazji transmisji „Grubych ryb" z Teatru Powszechnego, co na pierwszy rzut oka wydaje się nieco dziwne.

Jeżeli jednak dociekliwy czytelnik weźmie do ręki pierwszą lepszą warszawską gazetę, sprawa zacznie się jakby cokolwiek wyjaśniać — otóż stołeczne teatry hurmem wyjechały na sierpniowy urlop (lamentował niedawno na ten temat Roman Szydłowski na łamach „Trybuny Ludu") i zupełnie, ale to zupełnie nie ma w nich co oglądać. Znakomita okazja do wykonania szlachetnego gestu, szczególnie, że „Grube ryby" to komedia, a widz w lecie pono komedie lubi, że bezdewizowa, niezła, i tak dalej i tak dalej.

Tak rzecz zoczywszy, trudno już nam będzie zastanawiać się nad kryteriami wyboru, nad tym, czy rzeczywiście ubiegłoroczny spektakl „Grubych ryb" jest dla teatrów łódzkich w ogóle, a dla Teatru Powszechnego w szczególności, pozycją reprezentatywną, najbardziej godną pokazania. Na antenę poszło to, co było gotowe do dania w sierpniu, jako że w sierpniu wypadło tak zwane okienko w transmisyjnych planach...

Nie będziemy również pisać o samym spektaklu — był on już przecież omawiany — dodajmy może tylko, że nie stanowił on szczególnie wdzięcznego obiektu do telewizyjnej realizacji. Rzecz w tym, że ani dialog Bałuckiego nie jest nazbyt błyskotliwy, ani sytuacje sceniczne nie są tam rysowane zbyt dynamicznie — wszystko niemal zamyka się w obrębie „małej gry", drobnych gestów i reakcji, jakiegoś nerwowego skrobania się nogą w nogę, bębnienia palcami po blacie stołu, unoszenia stopy przy ukłonie i tak dalej w tym guście. Wychwycenie operatorskie tych wszystkich niuansów — a dwie czołowe role starych kawalerów, owych „grubych ryb", na nich są przede wszystkim oparte — okazało się często zadaniem ponad siły, co osłabiło komiczną siłę spektaklu. Publiczność na widowni śmiała się i biła brawo; my musieliśmy często wierzyć na słowo, bo aktorska „zagrywka" do nas telewidzów zwyczajnie nie dotarła...

Mimo wszystko przyjemnie nam był oobejrzeć coś łódzkiego na małym ekranie. Role Fogla i Sabary zresztą znakomite! CZ

Wspaniale! — nawet czuje się dym...

KRÓTKI, DOBRY METRAŻ

Od kilku miesięcy, w każdy poniedziałek pojawia się w programie pozycja, która jest w stanie zainteresować każdego odbiorcę. Przytłumiona trochę przez występujący w tym dniu Teatr Telewizji, zdołała skupić już pokaźną ilość swoich zapalonych zwolenników. Oczywiście mam na myśli „Kino krótkich Filmów". Zanim powstała ta audycja, telewizja robiła co mogła by obrzydzić nam film krótkometrażowy. Każdą lukę w programie wypełniano złym czy dobrym filmem dokumentarnym (przeważnie tym pierwszym). Nie przeprowadzono żadnej selekcji, ograniczając się do chaotycznego wypełniania „okienka" programowego pierwszym lepszym filmem krótkometrażowym. Doszło wreszcie do tego, że telewidz na zapowiedź spikera: — „Do rozpoczęcia następnej audycji mamy jeszcze kilka minut, prosimy zatem obejrzeć film krótkometrażowy", „wyłączał odbiornik, albo zaczynał czytać gazetę. Obecnie sytuacja uległa dużej poprawie. Olbrzymia zasługę ma w tym „Kino Krótkich Filmów". Już pierwsze audycje, prowadzone przez red. Bolesława Michałka wykazały, że telewidzowie od dawna czekali na tego rodzaju pozycję programu. Najlepszy w tej chwili znawca filmu krótkometrażowego w Polsce, jakim jest bez wątpienia red. Michałek, zaczął uczyć patrzenia na film kilkunastominutowy, a co ważniejsze: rozumienia go. Jest to szczególnie potrzebne dla poszerzenia naszej i tak zresztą ubogiej wiedzy filmowej, podwójnie potrzebne, gdyż film krótkometrażowy wciąż egzystuje w cieniu filmu fabularnego. A tymczasem w Polsce, krótkometraż nie tylko dorównuje poziomem filmom długometrażowym, ale bardzo często zbiera więcej laurów dla naszej kinematografii niż ten drugi (np. ostatni festiwal w Cannes). Z tego powodu powinniśmy poznać nasze filmy dokumentalne na tle wybitnych pozycji zagranicznych.

Z podobnego założenia wyszedł red. Michałek. Szary telewidz, który zainteresował się tą audycją, wie dziś już sporo o gatunkach filmu krótkometrażowego, jego środkach wyrazu orientuje się w nazwiskach kto to jest Lenica, Perski, Karabasz i inni wybitni twórcy polskiego krótkiego metrażu. Dzięki powstaniu „Kina Krótkich Filmów" można mieć nadzieję, że w miarę upływu czasu coraz więcej telewidzów przekona się do filmów krótkometrażowych. Przez kilka tygodni red. Michałka zastępował znany reżyser filmów dokumentalnych Tadeusz Makarczyński (twórca wielokrotnie nagradzanego filmu „Życie jest piękne"). Wybór zastępcy był bardzo udany. Makarczyński z wdziękiem, swobodą i erudycją poprowadził „Kino Krótkich Filmów". Potrafił on wprowadzić dużo ożywienia do tej półgodzinnej audycji, co przyczyniło się z pewnością do pozyskania dla niej nowych widzów. I za to należy mu się wiele słów uznania. Od 18 czerwca audycję kontynuuje z powrotem red. Michałek. Wydaje mi się, że mimo mniejszej błyskotliwości potrafi on również zdobywać nowych entuzjastów „Kina Krótkich Filmów". W chwili obecnej ten cykl audycji należy do najlepszych w naszej telewizji. Świetnie opracowana czołówka (Lenicy), krótka, rzeczowa informacja oraz zestaw najlepszych filmów krótkometrażowych, gwarantują olbrzymie powodzenie tej audycji: „Kino Krótkich Filmów" to pozycja, którą polecam każdemu telewidzowi.

TADEUSZ WIĄCEK

LOLOBRIGIDA w KIOSKU „RUCHU"

Wszystkim, którzy jeszcze nie wiedzą, że mamy w Łodzi swoją własną Lolobrigidę, donosimy o tym z przyjemnością. Znają ją dobrze z widzenia pasażerowie „ósemki" i „szesnastki", nie wyłączając co bardziej eleganckich pasażerek, zawsze chętnie i krytycznie porównujących się z piękną i elegancką przedstawicielką swojej płci. Gdy tramwaj mija kiosk „Ruchu" lub staje przy nim, przystanek jest obok kiosku, większość pasażerów oraz wyżej wymienione pasażerki patrzy i patrzą na uroczą Lolobrigidę, sprzedającą polskie gazety a także globulki Z i inne imponderabilia współczesnego Amora. Słyszy się wtedy ciche „ochy" i „achy", a niekiedy i komentarze, jak np.: — Wie pan, że raz pół godziny stałem przed tym kioskiem, nim kupiłem gazetę, bo ta urocza pani malowała usta i nie chciałem jej przeszkadzać; albo: — Phi, ale się robi na Ginę. Pierwszy komentarz był wyraźnie entuzjastyczny. Wyczuwało się z podtekstu, że jego autor chętnie postałby przed kioskiem jeszcze ze dwie godziny. Złośliwość drugiego komentarza tłumaczy jego kobiece autorstwo.

Jeżeli ktoś chciałby zobaczyć Małgorzatę (takie ma imię) Lolobrigidę, radzimy mu wsiąść w „ósemkę" lub „szesnastkę" i przejechać ulicą Łagiewnicką obok szpitala, naprzeciw którego stoi ów kiosk „Ruchu". Nie radzimy jednak wybierać się w tę podróż po południu, gdyż w kiosku urzęduje wtedy teściowa pani Małgorzaty. Nie radzimy również czynić prób zawarcia bliższej znajomości z panią Małgorzatą, ponieważ jest ona szczęśliwą mężatką. Od siebie życzymy pani Małgorzacie sprzedaży stu numerów „Odgłosów" tygodniowo.

BRAWO „BORUTA"!

Inż. Kazimierz Zapałowicz jest jednym z trójki racjonalizatorów zgierskiej „Boruty" (inż. inż. Wacław Anders i Tadeusz Cisło), która opracowała oryginalną metodę polskiej produkcji barwników reaktywnych dla przemysłu włókienniczego, importowanych dotychczas z zagranicy.

Oto co inż. Zapałowicz powiedział „Odgłosom tygodnia" w tej sprawie:

— Po raz pierwszy przedstawiliśmy wyniki naszych badań dwa lata temu na Międzynarodowym Sympozjum, zorganizowanym przez Ministerstwo Przemysłu Chemicznego w Warszawie. W niedługim czasie oryginalność naszych opracowań została potwierdzona przez Urząd Patentowy PRL.

— Jakie są wartości użytkowe owych wynalezionych przez panów barwników?

— Barwniki reaktywne tworzą trwałe połączenia z włóknem, odznaczają się też dużą żywotnością barwy oraz odpornością na słońce i pranie. Są przy tym bardzo wydajne w produkcji przemysłowej. Warto też podkreślić, iż tylko niewiele krajów produkuje barwniki reaktywne W obozie socjalizmu pierwsza Polska zerwała z importem tych chemikalii.

— Zawdzięczając to racjonalizatorom „Boruty"...

— Bardzo nam miło. Pracujemy obecnie nad rozszerzeniem tonacji barw aż do czerni włącznie.

WIĘCEJ MIĘTY!

Łodzianie najwyraźniej czują miętę do... mięty. W roku ubiegłym spożyli jej 7.400 kg, to znaczy o 1.900 kg więcej niż w roku 1960. Liczba ta dotyczy jedynie spożycia w postaci kruszonki do parzenia jako... herbaty. Mięta używana w celach leczniczych a sprzedawana w aptekach i drogeriach, to osobny rozdział. Herbaciana karierę zrobiła mięta w ciągu ostatnich lat na Śląsku. Górnicy wręcz przepadają za „chłodzącym gardło" jej smakiem.

Miętę można spotkać obecnie na polach w Łowickiem i Sieradzkiem, ale nie uświadczysz jej od paru tygodni w sklepach. Jak nas poinformował dyrektor łódzkiego „Herbapolu" p. Łukaszek, kłopoty z nią narastają od lat. Od lat bowiem zmniejsza się areał uprawowy mięty. Niezupełnie zgodnie z tym co mówi o mięcie Linde (**„ziele ogrodowe i dzikie, służy żołądkowi" —** Sł. J. P. t. III str. 109), rzadko rośnie ona sobie sama, a służy bardziej przemysłowi. Dla celów przemysłowych trzeba ją kontraktować i uprawiać. Uprawa jest pracochłonna i ryzykowna. Ryzykowna dlatego, że jak żadna z roślin przemysłowych mięta nie lubi kaprysów aury, na które niestety w ciągu ostatnich lat wraz z rolnikami mamy prawo narzekać. W roku bieżącym areał kontraktacyjny mięty wynosi zaledwie 773 ha, czyli o 317 ha mniej niż w roku ubiegłym. Ten gwałtowny spadek i deficyt spowodowała m. in. powódź w Radomszczańskiem.

Co zrobić z miętą, która jest świetnym artykułem eksportowym, na którą czekają nie tylko zwykli zjadacze, ale i przemysły (spożywczy i kosmetyczny — pasta do zębów, jeśli jej brak to również z powodu mięty) — oto wcale nie mała sprawa gospodarcza. Cokolwiek wymyślą nasi ekonomiści, trzeba rzucić hasło: więcej mięty — dla mięty do produkcji i na rynek!

ODGŁOSY tygodnia

ZBRODNIA DOSKONAŁA

W słuchowisku według Jamesa Gilmore w przekładzie i radiofonizacji Wacława Bilińskiego, nadanym w ubiegłą niedzielę przez Łódzką Rozgłośnię Polskiego Radia w ramach Teatrzyku Jednego Aktu, znany reżyser Tadeusz Markowski, obdarzony niepoślednim talentem aktorskim, wystąpił m. in. w roli teściowej.

Felieton scentyka

SYNEKURY?

Jako społeczeństwo z roku na rok coraz skuteczniej bronimy się przed osobnikami i klikami, żerującymi, na trudno przychodzącym nam dorobku. W ogólnym bilansie przestępstw maleje liczba przestępstw gospodarczych. Nie oznacza to wcale, że możemy spać spokojnie. Maleje bowiem ilość „małych wszy", natomiast przybywa „rekinów". Całe szczęście, że opanowujemy sztukę polowania na nich.

W pierwszym półroczu bieżącego roku wszczęto w Łodzi 203 dochodzenia przeciwko „dwudziestotysięcznikom", to znaczy sprawcom szkód majątku społecznego wartości powyżej 20 tys. zł. W analogicznym okresie 1961 roku dochodzeń tych było 170. Za tą ilością kryje się znowu jakość, a raczej ciężar. O ile w pierwszym półroczu 1961 ścigano „rekinów", bądź ich stadka, które pożarły 8.816.500 zł, o tyle w analogicznym okresie br. waga ich żeru wynosi 17.791.192 zł.

Powiadamy bezosobowo: wszczęto, ścigano... Na te suche, sprawozdawcze czasowniki składa się mrówcza praca ludzi z MO i prokuratur, a także z organów kontroli NIK, IKR i PIH.

Nie możemy, niestety, w tym honorowym szeregu, wyliczyć pracowników tzw. kontroli wewnętrznej, a więc zakładowych rewidentów, inwentaryzatorów itp. Właśnie ocena ich użyteczności znalazła się ostatnio na warsztacie Komisji Kontroli Partyjnej KŁ PZPR. Okazuje się, że udział pracowników kontroli wewnętrznej przedsiębiorstw i zjednoczeń w wykrywaniu afer i aferzystów jest zgoła minimalny i wręcz nieproporcjonalny do ich ilości w poszczególnych branżach gospodarczych. Dość powiedzieć, że na 203 dochodzenia z roku bieżącego zaledwie 12 jest zasługą kontroli wewnętrznej.

Nie chcielibyśmy nikogo dotknąć osobiście, ale wobec łożenia na liczne etaty rewidentów zakładowych, wobec milionowych strat, ergo wobec nikłych efektów zapobiegawczych, powstaje pytanie: za co właściwie bulimy ciężką forsę z państwowej kiesy? Formułując jeszcze brutalniej i bez ogródek: czy stanowiska rewidentów nie oznaczają czasem synekurek?

Instytucja rewidentów, pomyślana jako „oczy i uszy" interesu społecznego w poszczególnych jednostkach gospodarki socjalistycznej — jest w swym założeniu sensowna. Błąd jej funkcjonowania zdaje się polegać na tym, iż rewidenci podlegają głównym księgowym i dyrektorom przedsiębiorstw, czyli zależą od chlebodawców. Nie każdy dyrektor i główny księgowy ma męską odwagę i docenia celowość ujawnienia bałaganu w przedsiębiorstwie przez się zawiadywanym. Stąd najprostsza możliwość upupiania rewidentów, niekoniecznie „chwytami" nacisku czy przymusu, ale „perswazją", powoływaniem się na względy „koleżeństwa" i „dobrego imienia" zakładu.

Rzecz wielce charakterystyczna: rewidenci oddelegowywani z macierzystych zakładów do „obcych" okazują się sprawniejsi, uważniejsi i odważniejsi.

Cytowana analiza KKP sugeruje ewentualność zmiany statusu rewidenta. Wydaje się, że zmiana ta powinna pójść w kierunku większej jego „niezawisłości".

I jeszcze jedno. Jest tajemnicą poliszynela stosowanie w przemyśle włókienniczym wielce niedoskonałych schematów organizacyjnych i kontroli obiegu dokumentacji. I tak np. wiemy, ile sprowadzamy surowca wełnianego, ile zużywamy go na wyprodukowanie jednego metra tkaniny, wełnianej, wiemy, ile produkujemy tysięcy metrów tkanin, ale nie wiemy, w jakich operacjach i ile surowca ginie z przyczyn uzasadnionych i nieuzasadnionych w toku produkcji.

Autorzy cytowanej analizy zauważają wielce trafnie: czy tego rodzaju wadliwy schemat organizacyjny jest do pomyślenia np. w Wytwórni Papierów Wartościowych. A przecież surowiec to ciężkie dewizy, to w ostatecznym rachunku papier wartościowy.

Mamy w Łodzi niejeden instytut naukowy, w tym Instytut Ekonomiki i Organizacji Pracy. Schemat doskonały — oto wdzięczne i pilne zamówienie społeczne dla nich.

SZTUKA REKLAMY

Pragnąc zaintrygować potencjalnego widza, Teatr Powszechny wydrukował coś w rodzaju ulotek, w których niby to opowiada treść granych sztuk, a właściwie mnoży znaki zapytania i zapewnia — jak w przypadku „Idiotki" — że „...na pytania te odpowiedź dać może jedynie przedstawienie w TEATRZE POWSZECHNYM, gdzie czekają na widzów nie tylko emocje sensacyjne, lecz także dużo zabawy i zdrowego humoru".

Szczególnie wdzięcznie wygląda omówienie sztuki „Przed maturą". „Młodzi ludzie — **czytamy** — kochają się, bawią, urządzają prywatki ze strip-teasem, (Nicky — Barbara Połomska), ale równocześnie głęboko przeżywają załamanie wiary w ojca czy matkę".

Niestety satysfakcję, że niby wiemy, kto robi strip-tease mąci nieco stwierdzenie finałowe — „...ponieważ jest to sztuka dla tych, którzy mogą już mieć podobne przeżycia — zapraszamy na nią widzów, którzy JUŻ UKOŃCZYLI LAT SZESNAŚCIE...". **Bo o szesnastolatków jesteśmy, powiedzmy, spokojni, ale jak będą się czuły na spektaklu babunie bez wspomnianych doświadczeń, biorąc pod uwagę, że strip-tease jest wynalazkiem stosunkowo nowym?**

MECENAT PILNIE POSZUKIWANY

Mecenat ten sprawuje, i to wcale nieźle, związek zawodowy włókniarzy. Są jednak granice możliwości tej popularnej organizacji masowej. Ostatnio np. powstał w Łodzi problem: skąd wziąć fundusze na zakup 15 tys. par pończoch leczniczych dla włókniarek wykonujących prace na stojąco, (prządek i tkaczek). Jak wykazały badania przeprowadzone w WZPB im. 1 Maja pończochy te zapobiegają żylakom oraz innym schorzeniom nóg robotnic. Chodzi więc teraz o to, aby i w ZPB im. Marchlewskiego oraz w Pabianickich ZPB, które zgłosiły gotowość kontynuowania eksperymentu widzewskiego, można było kobiety zaopatrzyć w owe elastyczne pończochy ortopedyczne.

Na pismo skierowane w tej sprawie do Wydziału Zdrowia otrzymano odpowiedź (z Ministerstwa Zdrowia), że resort nie uważa za stosowne przydzielanie pończoch włókniarkom w ramach świadczeń ubezpieczeniowych.

Pozostaje więc otwarta kwestia znalezienia funduszy na pokrycie tej tak potrzebnej inwestycji zdrowotnej.

CAUSA FINITA

W toku dyskusji pod hasłem „Turystyczna Polska B", zwróciliśmy uwagę na paradoks, uniemożliwiający zakładom pracy korzystanie z własnego taboru autobusowego przy przewożeniu ludzi na „wczasy niedzielne". Obowiązywało bowiem wówczas zarządzenie, ustalające sztywną stawkę 110 złotych za godzinę wycieczkowej podróży. Ta słona cena wręcz paraliżowała zakładowy ruch niedzielno-turystyczny.

Z przyjemnością odnotowujemy wiadomość, którą przyniosła zeszłotygodniowa prasa codzienna. Otóż w myśl zarządzenia Prezesa Rady Ministrów za używanie zakładowych autobusów i samochodów ciężarowych na wycieczki wypoczynkowo-turystyczne pracowników i ich rodzin, rada zakładowa ma obowiązek zwrócić do kasy zakładu, koszt faktycznych wydatków na kierowcę i materiały pędne oraz 10 proc. tej sumy na częściowe pokrycie ogólnych kosztów eksploatacji pojazdu.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PI'PiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 2486. VIII. 62. A-6